TRZY BOJE.

w 1848 r



W 30-letnią rocznicę opisał

JAN G.



[1878]

CHICAGO, ILL.
DRUKIEM I NAKŁADEM W. DYNIEWICZA.
1900.

TRZY B0JE.

W 30-letnią rocznicę opisał

JANG.

CHICAGO, ILL.

DRUKIEM I NAKŁADEM W. DYNIEWICZA.

1900.

Wstęp.

■ Stuletnia walka o niepodległość Polski, o ile niemal Pa każdej karcie swych dziejów, zaznaczona jest najszczytniejszemi obrazami heroizmu, tak samo niestety przedstawia się badaczowi jakby jakie złowrogie fatum, które odwracało zdrowy zmysł od wyciągnięcia korzyści w danych chwilach sposobności, które się same nastręczały.

Bo jeżeli nie było szansy zwycięztwa, to były jednak momenta, z których na przyszłość można było wytargować świeży zasób sił do tej wiekowej walki, który by nas był od niejednej klęski zasłonił. W tym względzie jesteśmy jednakowoż nieuleczalni, bo gdy masy, naród nie wahają się poświęcać krew i mienie, nieszczęsne kunktatorstwo doktrynerskich jednostek, które nawet zbawienny instynkt zapoznaje, odkrywając najsłabsze strony, lub sprowadzając naród do niemocy, paktuje z nieprzyjaciółmi, usuwając poprzednio najtroskliwiej wszystko z drogi, co się w języku kunktatorów nazywa *nielegalnością*.

Do takich ważnych a niefortunnych momentów zaliczamy w Wielkopolsce rok 1848. Opisując tę epokę na innem miejscu obszerniej, dziś ograniczamy się tylko na tych wstępnych słowach, o ile takowe są potrzebne do zrozumienia tych trzech bojów w 30 letnią rocznicę.

Rewolucya berlińska 19 marca 1848 roku, taką paniką ogarnęła dwór pruski, że ten stał się ciałem bezwładnem, jakby w stanie letargu.

Fryderyk Wilhelm IV. był w swej rezydencyi jakby więźniem, nie odważając się wydać najmniejszego rozkazu bez woli i wiedzy ludu, następca tronu, Wilhelm I. salwował się z życiem, uciekając samotrzeć i przebrany konno. Mundur wojskowy nie mógł się pokazać na ulicach Berlina.

Bardzo naturalnie, że jeszcze większa panika zapanowała w załogach wojskowych, W. księstwa Poznańskiego, u których nieodbieranie kilkodniowe rozkazów znaczyło tyle, co nadchodzący koniec świata. To też gdy 21 marca zebrało się w Poznaniu w sali Bazarowej około tysiąca osób przed południem i pod przewodnictwem Cypryana Jarochowskiego, poprzednio uwolnionego

więźnia stanu z Berlina, a drugiego dyrektora Towarzystwa Kredytowego, wybrano tymczasowy komitet, gdy przypięto kokardy narodowe i z okrzykiem: “Niech żyje Polska!” rozsypano się po całym mieście, wojsko biwakujące na placu Wilhelmowskiem tak było potulne, że bez wahania, nie mając jeszcze kokard niemieckich, czarno-żółto czerwonych, przypinało podawane mu kokardy narodowe polskie.

W kilka godzin pościągano całą załogę do ostatniego żołnierza do cytadeli, usunięto z widoku odwachy i warty i tak samo jak w Berlinie mundur pruski tylko w bardzo potulnej postawie pokazywał się na ulicy. Najpotworniejsze wieści jeszcze więcej dodawały grozy tej niemej pruskiej panice. Na pierwsze żądanie wydano karabiny dla Gwardyi Narodowej, która się zawiązała w tymczasową straż bezpieczeństwa. Deputacya złożona z energiczniejszych żywiołów, którą zebrał były oficer wojsk pruskich, Mieczysław Maćkiewicz, wypuszczony w Grudniu więzień stanu z Moabitu berlińskiego, Ludwik Włościborski,, Józef Lipiński i innych kilku dzielnych patryotów udali się do komitetu narodowego na ratusz,

aby tenże zażądał od jeneralnej komendy oddania natychmiastowego fortecy wraz z zapasem amunicyi i broni.

Przerażenie, które brak wieści z Berlina spowodował było tak silne, że główno-komenderujący ani się nie oburzył, ani się nader nie zdziwił tern żądaniem i już zaczął paktować, żądając, aby garnizonowi wolno było opuścić fortecę z bronią i pakunkiem, bezpieczeństwa rodzin itd.

W tej chwili potrzeba było korzystać z każdego momentu, w kilkanaście godzin można było uskutecznić rodzaj oblężenia fortecy i nie dopuścić żadnej wieści zewnątrz. W 24 godzin byłoby stanęło kilka tysięcy chłopów wielkopolskich z kosami na storc, a to aż nadto wystarczało do wywarcia potrzebnego nacisku.

Sprawa ta doszła już tak daleko, że w ratuszu poznańskiem była już przygotowana olbrzymia chorągiew, która następnego dnia miała już być zatkniętą na najwyższym bastionie cytadeli. Uważmy, że połowa garnizonu, który wynosił do 8,000 składająca się z Polaków, byłaby pozostała na miejscu.

W komitecie jednak odezwał się złowrogi duch jak wtenczas “legalności.” W sali pałacu Działyńskich rozpoczął się zapis do szeregów narodowych, na placu Bernardyńskim i innych rozpoczęto mustrę bez broni, a zapomniano o tern, że jedna chwila stracona może całą sytuacyę zmienić.

Garnizon poznański zasięgnąwszy w kilka dni języka z Berlina, zerwał traktowanie o oddanie fortecy i zamiast tego założono obozowisko na placu Działowym, a znowu w kilka dni później, chociaż nie obsadzono odwachów, to nie tylko, że rozpędzono mustrujących się z placów, ale zmuszono kadry do ustąpienia z miasta.

W zadaniu tej legalnej morfiny narodowi w pierwszym poranku wschodzącego słońca wolności, powinniśmy szukać klęski, jaka nam się przy opisie *trzech bojów* przedstawi.

Rząd pruski, nie mając pod ręką sił, a choćby i był miał, to chwila nie była po temu, aby mógł je ryzykować do sprowadzenia jakiegoś starcia, to też gdy zaspano tak ważną chwilę w samym Poznaniu, potrzeba było użyć wszelkiej możebnej energii i środków, aby tylko nie popełnić dru-

giego błędu, gdy pod Środą zaczął się zgromadzać ze wszech stron lud zbrojny.

Uzbrojenie młodzieży polskiej przez prezydenta policyi w Berlinie, Minutolego, który przypasując pałasze akademikom i niektórym Mohabitom, o ile pomnę 22 marca, wyrzekł ostentacyjnie: *Daj ę wam broń przeciw wspólnemu naszemu wrogowi*, t. j. przeciw Moskwie. Gdy to orzeczenie ówczesne dzienniki powtórzyły, należało bezzwłocznie z tego frazesu skorzystać.

Przybycie legionu akademickiego do Poznania pod nazwą “Szkoły podchorążych,” było większej doniosłości, niż się komu zdawać może. Pochód przez Księztwo od granic brandeburgskich, przy pałaszach, w szafirowych ułankach z białemi kitkami i kokardach narodowych, pod któremi wyglądały niemieckie, można było z wielką doniosłością zużytkować, czego się jednak komendant legionu, Jan Kożmian, z całym zastępem bojaźliwych i “legalnych” kohort konserwatyzmu skrupulatnie wystrzegali, bacząc przedewszystkiem i troskając się o to, jakby tę ideę zbrojnego protestu jak najprędzej zamknąć i schować przed okiem narodu. A potrzebaż tylko było woli i dobrej

chęci i kilku gorących odezw, aby pozatem dziarskiej młodzieży wyrastały lasy na storc osadzonych kos chłopskich, których powagę byłby niezawodnie wtenczas jeszcze uszanował nawet lud berliński.

Wobec kilkudziesięciu tysięcy połyskujących do słońca, a groźnych jeszcze z pod Racławic i Ostrołęki kos, mogły nie tylko podyktować inne warunki rządowi, ale i całemu ruchowi berlińskiemu nadać właściwy kierunek. Jedynie dzielne chłopstwo z bezpośrednio przyległych wiosek do Poznania, jak Jerzyce, Górczyn, Junikowo, pojęły swój obowiązek, nie obawiając się zabłysnąć tuż pod bramami fortecy kosami w oczy. Lecz reakcya bojaźliwo-legalna postarała się i ten promyk zagasić.

To prawdziwe tentno narodowego poczucia tak zrozumiał lud wielkopolski, że dniem i nocą nadciągały zbrojne oddziały, samodzielnie, bardzo często nawet bez żadnego przewodnika surdutowego, na punkt zborny pod Środą ze sztandarami, na których z jednej strony była Matka Boska Częstochowska, a z drugiej godła Polski. Szli obok siebie dziad, ojciec i wnuk z jednej chaty z kosami na ramieniu, opatrzeni wła-

sną żywnością na kilka dni. Zdążali o kilka mil w płóciennych siermięgach i po większej części boso, nie dopuszczając się po drodze najmniejszych wybryków, tylko zapał błyskał z oka, a nieustające pieśni podawało echo echu.

Przybywszy do obozu odznaczało się chłopstwo karnością i posłuszeństwem, nie żądając żołdu. Gminy zwoziły dla swoich żywność. Trudno było powstrzymać rzewność i nie dopatrzyć się tej boskiej aureoli, jaka ta legiony ludowe otaczała. Trudno mi na tern miejscu nie przytoczyć choć jednego przykładu zacności wielkopolskiego ludu, jakiego po wiele razy byłem naocznym świadkiem.

Było to w pierwszych dniach, gdy się konstytuował komitet narodowy na ratuszu w Poznaniu; podczas posiedzenia wchodzi wysokiego wzrostu w charakterystycznej sukmanie i siwej czapce na głowie, siwizną pokryty włościanin, opasany na żupanie pod sukmaną skórzanym trzosem, a zdjąwszy z powagą czapkę, odezwał się:

— Niechaj będzie pochwalony Jezus Chrystus! — a zbliżając się do obszernego

stołu, za którym zasiadał komitet, zapytał:

— Czy to wy panowie bracia jesteście teraz naszym rządem polskim?

S. p. Jędrzej Moraczewski, dziejopis, członek komitetu, który był najbliżej włościanina, podając mu rękę, zapytał czego żąda.

— Oto widzita panowie bracia, do naszej świętej sprawy potrzeba i grosza, to ja wiem, a więc obowiązkiem jest każdego Polaka, aby nie czekał gdy go zawołają, ale sam przynosił i oddawał co ma. To też i ja, chociaż ciężkie czasy, zebrałem tam trochę grosiwa i chowałem na ostatnią biedę. Myślę, że najlepiej zrobię, że tu wam kochani bracia przyniosę.

Tu odpasując trzos, wysypał na stół sto kilkadziesiąt spleśniałych talarów, na których wyraźnie znać było, że je ukrywał gdzieś zakopane.

Trudno opisać zdumienie, jakie opanowało komitet. Ś. p. Jędrzej Moraczewski, Libelt, ze łzą w oku uściskali włościanina, a gdy mu chciano wystawić kwit na te pieniądze, odpowiedział:

— A po co mi kwitu, ja to tam nie przeczytam, bo mnie nie uczyli. Ukraść, wiem rząd polski nie ukradnie, odbierać pieniędzy nie będę, bo daję na to, aby nam wszystkim było dobrze, aby była Polska. Niechaj was tu Pan Bóg i Najświętsza Panna ma w swojej opiece, tylko się spieszcie, bo to Niemcowi nie ma co dowierzać, dzisiaj się łasi, a jutro będzie kąsał.

Pożegnał się i wyszedł, nie chcąc nawet swego nazwiska wymienić. Jest to jeden okaz wielkopolskiego chłopa, a wierzajcie, że nie jest i nie był i nie będzie unikatem.

Z takiego materyału, gdyby nie legalne kunktatorstwo, stanąćby mógł pod Środą przynajmniej 30-tysięczny zastęp. Karygodne tchórzostwo pseudomenerów nie dopuściło do tego.

Natomiast zawarto dnia 11 kwietnia konwencyę z komisarzem królewskim Wilizenem, według której, ufając nikczemnemu kłamstwu niemieckiego szalbierza, zgodzono się na rozpuszczenie siły zbrojnej, ograniczając takową na pozostawienie zawiązku kadrów w matni, pomiędzy Nowem Miastem nad Wartą, Miłosławiem i Piesze-

wem tak długo, dopóki się siła pruska nie wzmoże, aby ten homeopatyczny zastęp jednym zamachem zgnieść, lub wepchnąć na bagnety moskiewskie.

Zaczem zakończymy ten wstęp, potrzebny do zrozumienia “Trzech Bojów,” nie możemy również pominąć śmiesznej tradycyi, z jaką się jeszcze po dziś dzień wiąże nazwisko jenerała Ludwika Mierosławskiego.

Nazwisko to związane jest ściśle z wszelkiemi ruchami powstańczemi od roku 1846 w Polsce. Znamy i przyznajemy błędy, których się dopuścił Mierosławski, ale krwiożerczość względem tak zwanej szlachty, którą mu onego czasu przypisywano do tego stopnia, że nazwisko jego w szlacheckich domach nawet za postrach dzieciom służyło, nie oparte jest na najmniejszej podstawie, a szukać wypada jego początku w ohydnem oszczerstwie reakcyjnej zgnilizny. Bo jeżeli kiedy, to dnia 11 kwietnia, w dzień konwencyi pod Środą, mógł był Mierosławski swe zapały, gdyby takowe był posiadał, w krwi skąpać.

Była to straszna chwila grozy i nikt nie miał tej odwagi, aby rozkaz rozejścia

się ogłosić ludowi. Nawet taki śp. Karol Libelt, powszechną czcią otoczony, którego imię znane było nawet w biednych chatach u ludu wielkopolskiego, zaledwo kilka słów wymówił, zmuszony był salwować się i schronić dla własnego bezpieczeństwa. Gorzej już było, gdy Walenty Stefański, księgarz, posiadający również mir u ludu i po warstatach rzemieślniczych Wielkopolski, spróbował swej popularności z wysokości stosu kamieni na rynku w środzie. W mgnieniu oka świsnęły kosy w górę, a Stefański zniknął przed ciosami, jak Protazy z ‘‘Pana Tadeusza.” Jeszcze jeden najmniejszy podmuch, a niezawodnie, co tylko surdut nosiło, byłoby padło ofiarą pod bratniem żelazem.

Wtenczas Mierosławski nie wahając się ani chwili, otoczony kilkunastu Mohabitczykami, piorunującym głosem, tym samym, jakim dzień przedtem przemawiał do zastępów kosynierskich podczas nabożeństwa polowego, odezwał się nieulękniony wobec złowrogich okrzyków zemsty, posądzającej panów o zdradę. Do tego potrzeba było być Mirosławskim, aby w tak krótkim czasie zjednać sobie taką miłość i zaufanie u nas.

Rozszedł się lud zbrojny, który nikczemne Prusactwo już po drogach zaczęło katować i znęcać się nad niem.

Oj smutny to już był pochód tych Mohabitczyków, emigrantów i co gorętszej młodzieży, którzy dążyli do obozu w Miłosławiu, Nowem Mieście i Pleszewie. Tak samo zaczątki nierozwiniętych hufców z innych miejsc przedzierały się do tych wspólnych grobowi sk.

To był drugi straszny i nierozgrzeszony błąd, popełniony przez hierarchią legalistów, który zabił doniosłość roku 1848 dla Polski. Potrzeba było być bardzo naiwnym, aby wierzyć w skuteczną rzeczywistość trzech tysięcznych kadrów, które się miały sformować pod główną pruską komendą i nie ^widzieć matni, do której pruska chirurgia napędzała zwierzynę dla upuszczenia jej krwi.

Rozpamiętywując te chwile obozowe w Miłosławiu, Nowem mieście, Książu i Pleszewie, a nareszcie w smutnej pamięci Pogrzybowie pod Raszkowem, rezydencyi szkoły podchorążych, to. wszystko bardzo smutne wspomnienia, dające świadectwo występku narodowego, jakiego się zawsze nasze tchórzostwo dopuszcza.

Od pierwszego rozbioru Polski, aż do najświeższych dni naszych odrasta ona jak hydra na polach bitew, w parlamentach, sejmach, wogóle tam, gdzieśmy głosem archanioła wołać winni: “Jesteśmy!”

W obozach, o których wspominam, były to szczupłe hufce prawdziwych synów śmierci w wolnej ziemi. Zastępy pruskie cichaczem, z lojalnymi frazesami na ustach, ziejąc wewnętrzny hucią mordów i pożogi, gromadziły się, otaczając nas żelazną obręczą, aby, gdy już będzie dziesięcioraka przewaga fizyczna, zmusić do poddania się na łaskę i niełaskę, lub wrzucić w paszczę moskiewską.

Wobec tak groźnych widocznie następstw, legalna szacherka doktrynerów z "oną skrupulatnością przestrzegała, aby się drądziki z broniakami i ptaszniczki nietylko nie zamieniły na karabiny z bagnetem, ale ani o jednę sztukę nie pomnożyły. W takich to warunkach i bojaźliwej frymarce oczekiwały garstki bohaterów męczeńskiej śmierci w szlachetnym chociaż nierównym boju.

W ostatnich dniach kwietnia nie ulegało już najmniejszej wątpliwości, że Pru-

sacy lada chwila uderzą, aby nas zanieść. Obławę rozpoczęto od zabrania bez strzału, czyli oddania Prusakom szkoły podchorążych, czyli przytułku bezpieczeństwa, przez Koźmiana. Było to, o ile pamiętam 25 czy 26 kwietnia.

Obręcz się ścieśniała i niebawem miał się rozpocząć heroiczny bój. 30,000 bagnetów okalały obozy. Atak pruski miał się rozpocząć od Księża przez renegata Polaka, pułkownika Brandta, oficera wojsk polskich jeszcze z czasów Napoleona. Garstką na pół uzbrojonych bohaterów w Książu dowodził polski Leonidas, Floryan Dąbrowski.



ROZDZIAŁ I.

Bój pod Księżem, 29 Kwietnia, 1848 r.

Książ, małe miasteczko na lewym zabrzeżu Warty w pewnem od niego oddaleniu, w Szremskim, położone na wzgórzu, było w czasie, o którym mówimy, po naj-

większej części z drzewa zbudowane, jak wszystkie małe miasteczka ówczesne. Po nieszczęsnej konwencyi Jarosławieckiej, organizowała się tamże część ochotników pod komendą pułkownika Budziszewskiego. Z początku napływ do obozu książkiego był znaczny, lecz gdy legaliści, dziwnie posłuszni rozkazom Wilisena bali się, aby jeden ochotnik więcej nie liczył się w szeregach nad umowę, to też postarali się i o to, aby zapał ostudzić i hufce rozpuścić do domu.

Smutny widok sprawiały te pozostałe resztki, dopiero, gdy 22 kwietnia major Floryan Dąbrowski, konstantynowski żołnierz, przeznaczony został przez naczelnika Mierosławskiego na dowódcę obozu w Książu, bezładne resztki, składające się z 508 kosynierów, 80 strzelców i szwadronu 120 koni, oraz 23 koni do służby sztabu i pociągu, ujęte dzielną ręką tego prawdziwego bohatera, przez kilka dni o tyle zostały wdrużone do obowiązków obrońców wolności, że chociaż były zanadto szczupłe do odniesienia zwycięztwa nad przemagającemi siłami regularnych wojsk pruskich, to jak się przekonamy, umiały ginąć po bratersku, staczając bój śmiertelny.

Dąbrowski przeczuwając, że lada dzień może być zaatakowany, i że od jego męztwa zależeć może całość i zwycięztwo obozów w Nowem Mieście i w Miłosławiu, nie stracił ani jednej chwili, aby się o ile można przysposobić do gwałtownego napadu. Przez całą noc wznoszą się barykady na wylotach miasta, reorganizuje bezładne szeregi, jest sam instruktorem, odbywa runty, ustawia warty i uczy, jak się zachować mają na każdy wypadek.

Piszący, wysłany z rozkazem z obozu Miłosławskiego 27 kwietnia, a więc 5 dni po objęciu dowództwa przez Dąbrowskiego, z podziwieniem patrzałem na tę karność i postawę żołnierską wielkopolskich zuchów. W samym Dąbrowskim odbijała się dziwna łagodność i serdeczny uśmiech na ustach, a pomimo tego widziałeś w nim bohatera, co się i piekła nie zlęknie.

Chlubny bój, chociaż śmiertelny, jaki stoczył, zawdzięczyć można tylko tej sile moralnej, jaką umiał wlać w szeregi.

Pomimo, że żaden warunek umowy Jarosławieckiej nie był naruszony z naszej strony, Prusakom zanadto się spieszyło, aby dokonać haniebnej i nikczemnej zdrady.

W Książu część mieszkańców była niemieckiego pochodzenia, otóż pomiędzy tymi tajni wysłańcy przygotowali na chwilę napadu wojska pruskiego wewnętrzną zdradę.

Dowódcami tego zbójeckiego spisku byli niejaki Weiss, kowal i bracia Klutowscy, pochodzenia polskiego, ale zniemczeni.

Otóż gdy u tych odkryto 27 kwietnia w piwnicach zapasy broni, amunicyi i świeżo nakutych obosiecznych noży, naturalnie aresztowani zostali, tern więcej, że były silne poszlaki, jakoby się znosili z obozem pruskim i w chwili napadu mieli miasto zapalić z czterech stron.

Pomimo tego wszystkiego wskutek zaręczenia jednego z obywateli, zostali tylko pod silny dozór oddani.

Pułkownik Brandt, niestety, dawny oficer wojsk polskich za czasów Napoleona, biorąc to za pretekst, zażądał od Dąbrowskiego, aby tenże natychmiast do 10 godziny rano, dnia 28 kwietnia wypuścił na wolność aresztowanych, w przeciwnym razie użyje siły zbrojnej i porządek przywróci. Dąbrowski z całą godnością odpowiedział że ukaranie lub uwolnienie zależeć będzie od sądu wojennego, a co się tyczy pogró-

żek, to zwraca uwagę pułkownika Brandta, jako starego żołnierza, że wojsko polskie pogróżek się nie lęka i mimo znacznie przeważnej siły wojska pruskiego, bój przyjąć jest gotowe; że zaś nie złamał żadnego z punktów ugody Jarosławieckiej, odpowiedzialność przeto za przelaną krew spadnie na głowę tych, którzy pod pozorem przywrócenia porządku, dotychczas niczem nie zachwianego, wymyślają powody, by ten porządek zakłócić.

Dąbrowski, który otrzymał rozkaz nieopuszczania Księża, tworząc tylną straż innych obozów, postanowił rzeczywiście bój przyjąć. Rozesłał do okolicznych wsi o posiłki ludzi zbrojnych, żądając równocześnie pomocy od dowódcy obozu w Nowem Mieście, stosownie do rozkazu z kwatery głównej.

Zaledwie kilka godzin upłynęło, nadciągnęło ochoczo kosynierstwo, śpiewając hymny narodowe z rzetelną gotowością do boju. Wzniosły to był widok patrząc na tę ofiarność dzielnego ludu polskiego, który rzucając pług i siew wiosenny, chaty, żony i dziatwę, dążył do ostatniej walki z ciemiężcąmi. Siły obozu zdwoiły się przez to,

z Nowego Miasta zaś prócz 45 strzelców, przybyłych na 36 godzin przed bitwą, żaden inny posiłek nie nadszedł.

Obóz pierwotny wynosił 753 żołnierzy, a drugie tyle przybyło pospolitego ruszenia. Lecz gdy do wieczora Prusacy nie atakowali, dowódca podziękował dzielnym ochotnikom i odebrawszy od nich przyrzeczenie, że na pierwsze hasło przybędą, rozpuścił ich do domów.

Smutna to powiedzieć, że do tego kroku zmuszony był Dąbrowski brakiem żywności. Tymczasem Brandt ściągał posiłki, aby cios jego był pewniejszy.

Dnia 29 kwietnia doniosły patrole, że Prusacy koncentrują się od Szremu i Dolska. W godzinę potem przekonał się Dąbrowski sam, objeżdżając pikiety, że Prusacy zbliżają się kilkoma kolumnami. Do zebrania powtórnego pospolitego ruszenia już było za późno, zapalono tylko słupy alarmowe, a Dąbrowski rozstawiał szczupłe swe siły. Śliczny to był chociaż mały zastęp kawaleryi, złożonej, koń w konia, z najdzielniejszych zuchów wielkopolskiej młodzieży, Mohabitczyków i emigrantów.

Jak wicher wpada nasze lewe skrzydło, czyli pierwszy szereg na szwadron pruskich ułanów i znosi go w mgnieniu oka, topiąc lance z wściekłą siłą w piersi wroga.

Pierwszy ugodzony major pruski, którego grot polskiej lancy przeszywając na wskroś zwalił z konia, prawe skrzydło atakuje huzarów, którzy przypuściwszy Polaków na kilkanaście • kroków, dają ognia z karabinów.

Konie nieostrzelane płoszą się i zamiast szarży rozpoczyna się walka pojedynczych, gdzie nasza wiara dokazując cudów waleczności daje świadectwo, co to broń może w ręku wolnego człowieka.

Pierwszy szereg, który tak świetnie uderzył, nawraca się, aby powtórnie przebić żywy mur pruski. Pruska rezerwa przychodzi swoim w pomoc, a więc i tu rozpoczyna się śmiertelny pojedynek. Plac zasłany już trupami ludzi i koni, jęki, przewaga siły pruskiej, 40 koni z dzielnym młodym oficerem Władysławem Małeckim przerębuje się ku Nowemu Miastu.

Kilkunastu zgromadzonych przez dowódzcę Czapskiego przebija się do miasta, łącząc się z szeregami kosynierów. Czapski,

pomimo, że ciężko ranny, nie ustępuje z placu. Jarociński Walenty, emigrant, i brat tegoż Feliks, pierwszy komendant pierwszego szwadronu, a drugi żołnierz skrzydłowy otrzymali jeden 18 a drugi 21 ran. Terlecki, oficer z czasów Konstantego, przeszyty został na wskróś lancą pruską; wszyscy czterej później wyzdrowieli, taka to twarda ta polska natura.

Na prawem skrzydle tymczasem uskutecznia Brandt atak na miasto od strony Szremu, strzelając z dział i rzucając granaty na domy. Garstka naszych strzelców wysuwa się z za barykad w tyraliery i tak silnie strzela, że kładzie mnóstwo trupa, pomiędzy tymi dwóch majorów.

Z drugiej strony strzelcy gerliccy z widoczną nieśmiałością dopełzają przez ogrody do domów, ale cóż, kiedy kosa staje się dla nich nader wstrętnym widokiem, a więc nogi za pas, zmykają o ile sił starczy. Dwie godziny trwa bombardowanie miasta, pomimo tego ani jeden dom nie może być zajęty. Siły jednak nasze były za słabe, aby obsadzić wszystkie luki.

Białe krakuski na głowach z czarnymi barankami i pawiem piórkiem, granatowe

mundury z białymi obszlegami, ratuzy z takimiż lampasami, w końcu powiewające u grotów dwubarwne chorągiewki, sprawiały serdeczne wrażenie.

Szwadron ten był sformowany kosztem Tytusa hr. Działyńskiego i wielkiej patryotki Wielkopolanki, Emilii Szczanie cki ej. Hufiec ten ustawił dowódca na prawem skrzydle za miastem, na płaszczyźnie od strony Nowego Miasta. Strzelcy rozstawieni za pierwszemi barykadami miasta dla bronienia przystępu do tegoż, kosynierów 4 kompanie w rynku, w każdym rogu po jednej, stu zaś kosynierów obsadziło różne domy.

Siły pruskie składały się z 7 batalionów piechoty liniowej, kompanii strzelców gerlickich, sześciu szwadronów kawaleryi ułanów i huzarów, oraz 7 dział. Razem wynosiła ta siła 6,144 ludzi regularnego żołnierza przeciw 735 powstańcom, u których zaledwie 80 sztuk broni palnej, ptaszniczek, dubeltówek itp. było do użycia. Nie zapomnijmy jeszcze, że powstańcy mieli trzy pukawki, które armatami nazwano.

Pułkownik Brandt przysłał parlamentarza o godzinie 10 i pół, który zażądał bez-

warukowo poddania się i złożenia broni w jednej godzinie. Major Dąbrowski mając fałszywie doniesione, że tylko przez 4,000 będzie atakowany, i mogąc najpewniej liczyć na pomoc z Nowego Miasta, odpowiedział, że przyjmuje bój. Lecz nim tę odpowiedź wysłał i godzina nie minęła, już się dały słyszeć pruskie sygnały. Pięć szwadronów kawaleryi, wsparte dwiema kompaniami piechoty i dwoma działami, usiłowały zająć pozycyę, aby odciąć odwrót ku Nowemu Miastu.

Szwadron nasz, dowodzony przez Józefa Czapskiego i dzielnych oficerów jazdy, postępuje naprzód i nie dozwala ruchu tego wykonać. Przeszkody nie dozwoliły Prusakom jak tylko 3 szwadrony, tj. 1 ułanów a dwa czarnych huzarów z trupiemi głowami na czapkach, stanąć w szyku bojowym. Dwa inne szwadrony stanowiły rezerwę. Piechota nieprzyjacielska zajmowała opłotki ogrodów miejskich. Linia naszego szwadronu w dwa szeregi była za krótka, aby się nie dać trzem szwadronom oskrzydlić.

Czapski komenderuje, aby drugi szereg wysunął się w prawo i stanął w jednej linii z pierwszym. I zaledwie dokonano te-

go ruchu, już grzmi nową komendę: “Szwadron! kłusem!” — a potem: “lance do ataku!! marsz! marsz!” — a wiara dzielna jakby chórem i z jednej piersi grzmi głosem: “Naprzód bracia! Niech żyje Polska!”

Niemcy i żydzi zamieszkali szczególniej od ulicy Szremskiej, dają znaki Prusakom, którędy mają dążyć i w ten sposób zajmują kilkanaście domów, odcinając od tej strony miasta część walczących i dwie barykady. Kosynierstwo nasze rażone granatami, strzałami piechoty i gorącem palących się domów, zaczyna się chwiać.

W tej chwili zjawia się drugi Głowacki, chłop z kosą w ręku, żądając strzelców do pomocy, lecz odebrawszy odpowiedź, że “tu wytrwałości kosynierów, a nie strzelców potrzeba,” zwraca się do swoich, a kilka piorunujących słów wystarcza, aby się jak huragan rzucili i wyparli Prusaków ze stanowiska zajętego, którzy w strasznym popłochu uciekali, bo gdzie płatnie kosa, tam trup.

Świeża kompania pruska staje im w oczy i morderczym ogniem dziesiątkuje; dzielni kosynierzy zmuszeni byli cofnąć się do miasta. Strzelcy z barykad dają ognia i zasła-

niają na chwilę odwrót. Prusacy wzmocnieni idą naprzód, dopiero dzielny Bajerski, nabiwszy dwie pukawki zwane armatkami, siekańcem pali i kaleczy niemiłosiernie piechurów, wstrzymując tym sposobem jeszcze na chwilę atak pruski.

Blisko godzinę trwa jeszcze walka naokoło rynku, kosynierstwo cudów dokazuje i odpiera wroga za każdym razem. Szczególniej kompania Emila Sokolnickiego, serdecznego ulubieńca kosynierów, nietylko z szaloną odwagą, ale z jakimś śmiertelnym humorem i lekceważeniem śmierci, rąbie i siecze po pikelhaubach.

Nareszcie walka koncentruje resztki sił naszych w samym rynku, który obsypywany gradem kul działowych i ręcznej broni, oraz chmurami dymów z pożogi, takie przedstawia piekło, że już i komendy usłyszeć nie można.

Jęk rannych i poszarpanych ciał od pękających granatów, dopełnia piekielnego efektu i obrazu, ale nie ujrzysz ani jednego powstańca, któryby rzucał broń i myślał o poddaniu się.

Następuje najgroźniejsza chwila: Prusacy wdzierają się do rynku dwoma ściśniętemi kolumnami.

Na ten widok dopiero zaczynają się chwiać zdziesiątkowane szeregi. Dąbrowski wydaje ostatni rozkaz pod ręką będącemu oficerowi, aby uderzył z połową kosynierów na jedną kolumnę. Kilku już rannych kolegów blaga go ze łzami, aby się nie narażał na niechybną śmierć, ale zachowując na przyszłość, poddał się. Porywa kosę w rękę i podnosi w górę z okrzykiem: “Bóg i Ojczyzna!”

W tej chwili trafiają go trzy kule karabinowe, krew trysnęła strumieniami, a on idzie naprzód i kładzie trupem kilkunastu piechurów, lecz osłabiony cofa się w środek rynku i tam powtórnie ugodzony kilku kulami, pada.

Tak pojmowali bohaterowie nasi obowiązki, jakie na nich ojczyzna wkładała.

Dopiero w tej chwili rozpoczął się bal, w którym bohaterstwo pruskie zaświeciło w całej swej świetności. Wdarłszy się do domów naokoło rynku, zieje oknami morderczy ogień. Nikt nie chce się poddać, przeciwnie, słychać głos: “odsiecz idzie!” — rozlega się straszne hura, Emil Sokołowski i kilku jeszcze oficerów uderzają w jedną stronę z kilkudziesięciu pozostałymi kosy-

nierami, odpierając Prusaków aż po za bliski staw.

Świeża kompania uderza na nich z tyłu. Giną w krzyżowym ogniu, lub wzięci w niewolę, kilku zaledwie przedziera się do rynku. Jeden z wyższych oficerów, który pozostał przy życiu, pośród trzasku ognia karabinowego zawiesza na pałaszu chustkę białą i chce kapitulować, lecz i wtenczas jeszcze wołają bohaterowie: “nie! My śmierci chcemy!" Nareszcie złożono broń, gdy już zabrakło dalszych sił do walki.

Był to dopiero pierwszy akt tego strasznego dramatu,, a rozpoczyna się akt drugi, szereg najpodlejszych zbrodni, dokonanych przez regularne wojsko króla pruskiego. Przykładu takiego trzeba szukać w mglistych dziejach barbarzyństwa.

Przytaczamy tu dosłowny ustęp z najwiarogodniejszego źródła, spisany przez naocznych świadków za najświeższej pamięci. Słuchajmy raportu, który był umieszczony w dzienniku “Demokraty Polskiego” w 1848 roku.

“Poddaniem się naszych rozuzdana nikczemność wiedzie pruskiego żołnierza do szpitala w środku rynku; — słychać strzały

— to rannych mordują na śmierć, — niedobitych wyrzucają oknem na pastwą swym kamratom. Na ten okropny widok kapelan obozu, (ks. Koszutski), z krzyżem w ręku, biegnie na ratunek nieszczęśliwym; lecz opadnięty przez kilku Prusaków, zbity kolbami, zaledwie sam od śmierci uratowany został przez jednego młodego oficera. (Kilku żołnierzy porwało go na ręce, aby nim bujać i wrzucić w płomienie palącege się domu). Pożar ogarnia prawie całe miasto — dzieci, starcy i chorzy okropnym jękiem dają znać swą ostatnią godzinę, zdrowsi wyrwawszy się z pośród płomieni, znajdują śmierć od bagnetu lub kuli, albo też kończą w parowach pod cmentarzem.

Kobietom nawet nie przebacza rozjuszone żołdactwo, — wypruwa wnętrzności bagnetem i niemowlęta w ogień wrzuca. Natura się wzdryga na samo opowiadanie popełnionych tam zbrodni, nie mogących się orzec dostatecznie wyrazem — myśl nie może objąć rozmiarów wściekłości dzikiego narzędzia despotyzmu.

Mordy te trwały tylko kwadrans, a przecież w tym przeciągu czasu więcej padło niewinnych ofiar, niż w pięciogodzinnej wal-

ce. Oddać tu winniśmy słuszność dwom oficerom pruskim, którzy szczerze usiłowali położyć koniec tej tragicznej scenie, ale starsi oficerowie podżeganiem żołdactwa i własnymi gorszącymi przykłady, zasłużyli sobie na wieczną hańbę — na wzgardę ludzkości.

Skończyły się nareszcie mordy w mieście, nasyciła się krwią niewinnych podła zemsta, a pozostałe ofiary innym siepaczom pozostawiono na pastwę. Zabranych w niewolę wyprowadzono za miasto, a ustawiwszy w szeregi, przeprowadzono długą i krętą drogą ku Szremowi. W drodze naprowadzają ich na biwakujący oddział landwerów; inna to dzicz, innego rodzaju dopuszcza się zbrodni. (Landwera ta, złożona z Pomorczyków, wiernych i nieodrodnych bękartów krzyżackich). Czereda ta uzbrojona w kije, butelki, kamienie i pazury, rzuca się wściekle na bezbronnych i pod opieką regularnego wojska będących niewolników, pluje im w oczy, targa za włosy, kopie nogami, bije i morduie, — aż sama wreszcie zmordowana, wpędziwszy ich po kolana w błoto, tam im odpocząć rozkazuje, zkąd po upływie kwadransa przeprowadzo-

no nieszczęśliwych jeńców długą znowu drogą do Szremu.

Tak się skończył bój pod Książem, w którym padło przeszło 140 bojowników na placu, około 60 zostało żywcem spalonych, a rannych przeszło 350.

Faktem jest, że zabitych i rannych Prusaków była podwójna liczba, szczególniej kosynierzy zadawali straszne cięcia. Wiemy to od naocznych świadków i od miejscowego księdza, że można było widzieć trupy, których ciała z wierzchu były z bliznami jak od toporów.

W niczem nie ustępowała niemiecka i żydowska ludność Książa bohaterstwu pruskiego żołdactwa, mordując rannych po domach i dopełniając na nich najohydniejszego rabunku. Zydowstwo nożami wydłubywało oczy.

Rabunek trupów na placu boju i rannych przez żołdactwo a nawet oficerów niemniej był ohydny.

Znany nam n. p. taki wypadek: Józef Jakubowicz, ranny kilka razy podczas ataku kawaleryi, leżał na placu boju i widząc, że żołdactwo, rabujące po bitwie, dobija nawet rannych, gdy przyszła kolej na niego,

zatamował oddech, udając nieżywego. Odebrano mu zegarek i pieniądze, ściągnięto buty i zabrali się ci szakale do zdjęcia pierścionka z palca, a że tego nie mogli zsunąć, mówi jeden do drugiego: *gieb him ein Hieb*," drugi odpowiada: "podłożę kamień, a potem utnę."

Ranny słysząc, że całą operacyę odbywają z zimną krwią, otwiera oczy zdejmuje pierścionek i oddaje: *Hund verfluchter, du lebst noch!*

Po takiej przemowie idzie huzar do konia swego, przywiązanego do drzewa, wyjmuje z olster pistolet, powraca i pali w samo serce, lecz Bóg mocniejszy jak pruskie bestjactwo, kula trafia w guzik od munduru, odbija się, a ranny oprócz silnej kontuzyi, nie ponosi silnego uszkodzenia.

Ksiądz kapelan Koszutski, młody, liczący zaledwo 25 lat, nie wyglądał jednak starzej nad 20, ale była to czupurna i dzielna sztuka. Kosił na głowie niską ułankę, czarny płaszczyk, po kolana uniformową robotą, przy boku szabla, a buty z ostrogami. Na czerwonej wstążce nosił dość duży krucyfiks żelazny i podczas boju miał stułę na sobie. Otóż w ten krucyfiks uderzyły dwie

kule karabinowe, a kilka innych przeszyło ułankę i płaszcz, pomimo tego ciało zostało nietknięte. Dopiero zbity kolbami nie przyszedł już więcej do zdrowia i w dwa czy trzy lata zakończył żywot w mieście Buku. Krucyfiks, o którym mowa, widzieliśmy później u ś. p. arcybiskupa Leona Przyłuskiego.

Pułkownik Brandt awansował za to bohaterskie zwycięztwo na jenerała i tak samo posypały się inne awanse i krzyże.

Zbrodnie jednak dokonane po kapitulacyi na bezbronnych i niewinnych okryły niezmazaną plamą podłej nikczemności narzędzia i ich sterników.

My kończąc opis tego boju, mówimy:

“Cześć Leonidasowi polskiemu ś. p. Floryanowi Dąbrowskiemu, cześć bohaterom poległym na polach pod gruzami Książa.

Ze smutkiem przychodzi nam jeszcze w końcu dodać, że główną przyczyną tej katastrofy i zwycięstwa Prusaków był brak posłuszeństwa dowódzcy obozu w Nowem Mieście, pułkownika Garczyńskiego, który wbrew rozkazom, odebranym od naczelnika Mierosławskiego i kilku wezwań bohatera poległego, nie ruszył prędzej z pomocą, aż

gdy już było za późno, co ujrzawszy Brandt, natychmiast uciekł z Książa.

ROZDZIAŁ II.

Bój pod Miłosławiem, 30 Kwietnia, 1848.

Cudowna to była wiosna 1848 roku. Jak dziś pamiętam, a było to dnia 29go rano w sobotę przed przewodnią niedzielą, dano znać do głównej kwatery w Miłosławiu, że rekonesanse pruskie docierają aż do naszych widet pod Winno-górą, (wieś należącą do Bronisława, syna ś. p. jenerała Henryka Dąbrowskiego, odległa od Miłosłasławia na trakcie ku Środzie o ćwierć mili drogi), a więc jest wszelkie podobieństwo, że obóz miłosławski może być jutro zaatakowany. Niebo było jasne, bez chmurki, słońce świeciło i było nawet gorąco. Pola pokryte były bujną zielenią ozimin, a brzozy i wierzby zupełnie rozwinięte. Po wysłaniu rekonesansów, wysłano pół kompanii strzelców Langego, w której służyłem i rozsypano w tyraliery od Winno-góry.

Ozime żyto tak nadzwyczajnie już wtedy wybujało, że odebrawszy rozkaz pokładzenia się w bruzdach, byliśmy prawie zupełnie zakryci, oczekując z niecierpliwością pokazania się nieprzyjeciela.

Po dwóch godzinach jednak zagrała trąbka do zboru i cofnięto nas ku miastu, gdzie cała nasza siła wynosiła 200 strzelców, 650 kosynierów i 150 koni ułanów, — nareszcie baterya dział, składająca się z jednej armaty śpiżowej cztero-funtowego kalibru i dwóch półtorafuntówek, pod komendą dzielnego młodego artylerzysty z wojska pruskiego, Węclowskiego, nazywano go powszechnie *Węclesio*, (brat rektora uniwersytetu we Lwowie). Cała nadzieja polegała na tej 4-funtowej spiżówce, przywiezionej z zamku w Rogalinie z herbem Nałęczów. Węclesio ubrał tę swoją dziatwę w prawdziwe lawety, a zamiast jaszczyków na przodach figurowały kuferki.

Aż siedm naboi z kulami cynowemi i ołowianemi mieściło się w głównym jaszczyku, reszta nabojów była kartaczowych, to jest napełnionych siekańcami z kutego żelaza.

Do drugich dwóch działek służyły tylko naboje z poprzecinanych wag zegarowych

i wagowych funtów, czyli gwichtów, reszta siekańce. Za to obsługa składała się z samych rzemieślników miasta Poznania, wysłużonych podoficerów i żołnierzy w artyleryi pruskiej.

Niech mi wolno będzie wymienić najcelniejszych z tych, jakimi byli zuchy, Jezierski, szewc, Głowienkowski i Niemiec, krawcy, których by i nieboszczyk Bem był uściskał, tak dzielnie szarżowali pod kolumny pruskie, jak to później zobaczymy.

Zanim przystąpię do szczegółowego opisu boju, nie mogę również pominąć tego serdecznego koleżeństwa i prawdziwej, braterskiej miłości, jaka ożywiała obóz miłosławski.

Kosynierzy, ułani, strzelcy i artylerzyści, szeregowcy i starszyzna, wszystkich łączyła ta miłość szczególna, którą tylko wielka idea wolności natchnąć może. Nikt nie pytał z jaką siłą walczyć będziemy, ale duch się radował na myśl tego świętego chrztu. Jaką cenę ma taka spójnia, przekonamy się dalej.

Tylko część ułanów była umundurowaną, tak samo i strzelców, a w kosynierach zaledwo kilku oficerów. Wielka jednak ró-

żnica była w pojęciu ważności zastępów kosynierskich jako grozie wobec wroga tej broni, aniżeli w roku 1863.

Do kosynierów wybierano tak na dowódców głównych, jako też na oficerów najdzielniejszych ludzi, znanych nie tylko z męztwa, ale i obeznanych z wojskowością. Prawda, że w czasie tym był do dyspozycyi jeszcze spory kontyngens oficerów z roku 1831, z czasów Konstantego, a nawet napoleońskich, a byli to wszystko ludzie nie bawiący się w wielką politykę, ale za to całą duszą kochający ojczyznę i lud polski. Nie dziw, że którykolwiek z nich wstąpił do szeregów kosynierskich, to już ani na krok, ani na godzinę nie opuszczał swego plutonu, kompanii lub batalionu, przyrósł duszą i sercem do uzbrojonego ludu, który nawzajem widząc taką braterską troskliwość, starał się z oczów odgadnąć myśl każdą i na skinienie nietylko na Prusaków, ale na całe piekło djabłów uderzyć.

Wyższe i niższe stopnie oficerów jadały z kotła z bracią kosynierami i spali na ziemi obok nich.

Po dwutygodniowej nauce mustry manewrowano kosynierami jak starym żołnierzem.

W obozie miłosławskim było trzech Ludwików, do których szeregi strzelców, kosynierów i ułanów przylegały całą duszą. Byli nimi: Ludwik Mierosławski, Ludwik Oborski, pułkownik wojsk polskich z roku 1830 i Ludwik Jabłkowski, kapitan z nieśmiertelnego czwartego pułku. Dalej major Wroniecki i Dobrogolski, napoleończycy; kapitanowie: Kolski, Koszkowski, Loranz, oficerowie z roku 1830, słowem, ani jednego nie było nieobeznanego z bojem.

Tak samo w ułanach, pułkownik Brzeżański, dowódca jazdy poznańskiej w roku 1830, rotmistrz Brzozowski, Napoleńczyk; porucznikowie: Lipski, Tarło Henryk, Modzelewski; w strzelcach kapitan Lange, później jenerał włoski, wszystko to ochrzczone było na polach Grochowa, Ostrołęki i innych placach bojów.

Wielkopolska, co miała najlepszego, to stanęło do boju, tak samo emigracya i Kongresówka, z częścią tylko zaboru pruskiego, tylko sam Kraków dostarczył kilku reprezentantów.

Przy .Mierosławskim byli adjutantami Ruszczewski z roku 1830 i Domagalski, któ-

ty jako pułkownik zginął w roku 1863 pod Radziwiłłowem.

Oprócz nich byli w sztabie Aleksander Gutry oraz kilku jeszcze innych Wielkopolan z roku 1830 i emigrant, Bronisław Dąbrowski.

Miasteczko Miłosław, małe, było własnością ś. p. Seweryna Mielżyńskiego. Mieścina niewielka, zbudowana na kilku małych pagórkach. Na końcu miasta od południowej strony był prześliczny pałac w stylu włoskim z parkiem, przytykającym bezpośrednio do głównej ulicy miasta. Od pałacu i zabudowań gospodarczych prowadziły dwie drogi, jedna do folwarku Kozubca, a druga przez lasy ku Nowemu Miastu. Strona wschodnia miasta opierała się o trzy stawy i bagna, zachodnia zamknięta była małymi stawkami i trzęsawiskiem, które po lewej stronie wąską szyją sięgało aż do drogi prowadzącej aż do Winno-Góry. Po za błotami, przez które jednak były przesmyki, były winno-górskie wzgórza, pokryte modrzewiem i brzeziną i w części winnicami.

Na lewo od drogi, prowadzącej od Miłosławia ku Nowemu Miastu, na ćwierć mi-

li odległości była wieś Białe-Piątkowo, z której droga po za wzgórzami prowadziła wprost do Winno-Góry.

Wychodząc z miasta na północ, rozchodziły się trzy drogi na prawo ku Wrześni przez wieś Kębłów, wprost do wsi Pałczyna, a na lewo do Winno-Góry. Cała ta przestrzeń była to równina, poprzecinana zaledwie zwykłemi polnemi rowami. Na zejściu się dróg wrzesińskiej i do Pałczyna, pod samem miastem był jakby w końcu ostrokąta, przy samej drodze Pałczyńskiej cmentarz, ogrodzony płotem, a obejmujący około półtorej morgi przestrzeni.

Otóż gdyśmy się cofnęli w linii tyralierskiej, zastaliśmy mnóstwo motyk i łopat przy cmentarzu i Seweryna Mielżyńskiego, który pełnił w obozie służbę inżynierską, wytykając linie okopów, czyli reduty naokoło cmentarza. Po złożeniu broni w kozły, połowa obozu odpoczywała, a drugą odkomenderowano do sypania reduty. Praca ta trwała aż do wieczora do godziny lOej, poczem odkomenderowano nas strzelców do miasta na spoczynek, ostrzegając o każdochwilowem pogotowiu. Dlatego też przyby-

wszy na kwatery, spoczywaliśmy po kilkunastu, nie rozebrani, przy boku z bronią.

O godzinie 4ej rano zbudziła nas pobudka, wzywając do wystąpienia pod broń. Zaledwie dzień zaczął szarzeć, niebo całe powleczone było chmurami i padał drobny deszczyk.

Nasz dzielny Lange i pułkownik Oborski już na nas czekali na koniach w rynku, bo to ich był zwyczaj, że zawsze pierwsi stawali na placu.

Zaledwie odliczono szeregi, pomaszerowaliśmy pod cmentarz, gdzie się już kosynierstwo zszeregowało. Drogą od Winno-Góry nadciągało pół szwadronu, które tam stało na grandgardzie.

Na lewo od reduty cmentarnej, na środku której po nad krzyżem powiewał sztandar z białym orłem, przy drodze winnogórskiej, ustawił Węclesio swoją spiżową czterofuntową kochankę, w środku reduty umieszczone były na nasypach dwie półtorafuntówki'

W kilka minut przybył Mierosławski ze swym nielicznym sztabem, u którego boku był jeszcze jeden adjutant, Czerkies, który kilka lat przedtem wprost z Placu Sąs-

kiego w Warszawie za to, że płatnął jednego Moskala, jenerała, szablą w łeb, zemknął jednym tchem aż do granicy pruskiej, zkąd ściganemu pomogli obywatele wielkopolscy dostać się do Paryża. Na pierwsze hasło przybył z zagranicy, aby stanąć w naszych szeregach.

Równocześnie przyprowadzili chłopi z Murzynowa leśnego Mierosławskiemu huzara pruskiego, który jechał od pułkownika Brandta z Książa, do jenerała Blumena w Środzie, a była to depesza wielkiej wagi, bo Brandt ostrzegał sąsiada, że nie może się z nim połączyć dnia 30 kwietnia podług poprzedniej umowy. Doniósł o krwawem swem zwycięztwie i oporze powstańców w Książu, żądając w końcu odłożenia ataku na Miłosław do 1 maja.

Rekonesanse, które co chwila przybywały, donosząc o zbliżaniu się Blumena, maszerującego ze Środy, dawały pewność Mierosławskiemu, że drugiej depeszy nie odebrał Blumen od Brandta.

Od tej chwili mógł być powzięty jaśniejszy plan boju, którego szanse Mierosławski z całą precyzyą obliczył, zwabiając Blumena bokiem lasu winnogórskiego zą-

krywało mu się do ostatniej chwili wszelkie obroty sił naszych.

Mierosławski wskutek dawnych rozkazów wiedział, że obóz z Nowego Miasta pod dowództwem Garczyńskiego, który liczył 750 kosynierów, 120 strzelców i tyleż koni ułanów, obóz pleszewski pod dowództwem Feliksa Białoskórskiego, oficera z r. 1830 oraz później pruskiego, 720 kosynierów, 100 strzelców, komenderowanych przez pułkownika Kuszla i tyleż koni ułanów, muszą przybyć najpóźniej na godzinę lOtą i litą pod Miłosław.

W tym celu wysłał po kilku adjutantów, aby tak Garczyński, jak Białoskórski, nie pokazując się z lasu Miłosławskiego, pomaszerowali na lewo pod Białe Piątkowo i tam czekali dalszego rozkazu do uderzenia na tyły nieprzyjacielskie, który to manewr mógł być z największą łatwością do ostatniej chwili przed Blumenem zachowany. Nie byłby go prędzej przeczuł, dopókiby kosynierstwo nie spadło jak chmura na pruskie pikelhauby.

Cały obóz miłosławski uszykował się między redutą cmentarną a miastem, frontem do Winnogóry, prawem skrzydłem ku

Pałczynowi i Kęblowi. Szwadron Brzozowskiego, rotmistrza, rozwinął się po przed prawem skrzydłem tak, że zasłaniał sobą cmentarną redutę.

Jeden pluton pod dowództwem Lipskiego i Tarły podsunął się pod samą wieś Kębłów; popierany chmurą chłopów, zwołanych na efekt ze wsi przyległych Grabowa i Lipia.

Nasza kompania strzelców Langego, mając z sobą przenośne opłotki z wikliny o podwójnych ściankach, wypełnionych wewnątrz wełną i na kółkach, stanęła po za temiż, wiążącemi niby okopami redutę z miastem.

W drugiej na ziemi linii, stanął batalion kosynierów Wronieckiego. Pluton strzelców pod dowództwem porucznika Grabowskiego, który dopiero co ściągnięty został z grangardy w Winnogórze, rozsypał się w tyraliery brzegiem lasu winnogórskiego równolegle do traktu.

Jeden pluton strzelców z najlichszą bronią umieszczony był w reducie.

Około godziny 8ej zaczęły się z po za Winnogóry wysuwać kolumny Blumena, ą równocześnie pułkownika Bomsdorfa od

strony Kębłowa, który szedł na nas z Wrześni. Pluton ułanów Lipskiego cofał się zwolna i zajął pozycyę 'w bok frontu reduty nad drogą kębłowską.

Do godziny lOej zajęli Prusacy zupełnie pozycyę na rdzenny strzał armatniej odległości, a było ich, jak to później sami oficerowie pruscy, pobrani do niewoli stwierdzili, przeszło 5,700 ludzi.

Uroczysta cisza zapanowała w szeregach, kapelan obozowy ks. Popliński, mężczyzna wysokiego i silnego wzrostu objeżdżał szeregi na fornalskim wierzchowcu, mając do siodła przytwierdzony kociołek z święconą wodą. Ubrany w komżę, stułę i biret, miał krucyfiks na piersiach zawieszony, a w prawem ręku kropidło. Objeżdżał szeregi, zagrzewając gorącem słowem do boju, błogosławiąc, kropił święconą wodą.

Rzewny to był widok, patrząc na klękające szeregi dzielnych kosynierów, którzy z namaszczeniem wiary błogosławieństwa te przyjmowail, nie spostrzegłeś nigdzie widomej bojaźni, przeciwnie jakaś otucha i pewność zapanowała w szeregach.

Pokazał się z daleka pruski parlamentarz z trębaczem. Mierosławski wysłał do

niego adjutantów, którzy niebawem donieśli, że jenerał Blumen żąda rozmowy. Mierosławski wyjechał ze sztabem na połową drogi do Winnogóry, gdzie przybył i Blumen ze swoim. Żądał złożenia broni.

W czasie tej rozmowy przybył od Nowego Miasta goniec nasz, który podszepnął Mierosławskiemu, że Garczyński już wychodzi z lasu wprost na Miłosław, a Białoskórski zaledwie o milą jest tylko oddalony.

Wyjście to Garczyńskiego zmieniło znacznie plan Mierosławskiego, a obawiając się, aby Blumen, co było bardzo do prawdy podobnem, nie odłożył ataku dopóki nie przybędzie Brandt, mianowicie jeśli spostrzeże oddział Garczyńskiego, Mierosławski zerwał nagle rozmową i galopem powrócił do szeregów.

Miał wprawdzie na myśli cofnąć koniecznie Garczyńskiego przez młynową groblą po za miastem na poprzek drogi winnogórskiej, wiodącej od Białego Piątkowa, lecz gdy oddział ten już sią wcisnął do miasta, tworzącego jakby wąwóz pomiędzy błotami, a gdy odwrót ten musiałby nastąpić pod pierwszem wrażeniem huku armat pru-

skich, świszczących kul i pękających granatów, rzecz była za ryzykowna, aby taki manerw uskutecznić z niewypróbowanym i nieostrzelanym w boju powstańcem. Korzystniej więc było na wypadek, gdyby Prusacy natarli rdzennym atakiem i tak przeważną siłą, jaką mieli do dyspozycyi, zatrzymać Garczyńskiego jako silną rezerwę, którąby umożliwiła przy wolnem cofaniu się wprowadzić Blumena w łapkę, dając czas Białogórskiemu do skutecznego wpadnięcia na karki pruskie.

Zagrzmiało 6 dział pruskich, kule z sykiem przeleciały po nad naszemi głowami, a dwa granaty pękły bez zrządzenia szkody. Na powitanie odgrzmiało jakby z jednej piersi potężne — “hurra! — niech żyje Polska!” -

Ksiądz kapelan Popliński przemawiał przed frontem kosynierów ostatnie słowa zachęty. Mierosławski wysłał inżyniera Winnickiego z dobitnem powtórnem zleceniem do Białoskórskiego, aby tenże zajął bezwarunkowo pozycyę pod Białym Piątkowem, potrzeba jednak było zyskać na czasie, aby ten manerw został dokonany, a to nie dało się inaczej uskutecznić, jak tylko

nadstawiając znacznie dłużej pierś obozu miłosławskiego na przeważny taran siły pruskiej. Ale kto spojrzał w oczy szeregom mógł być pewnym, że w razie potrzeby hufiec dostoi tak długo, dopóki z ostatniej piersi krew nie wypłynie.

Już to niech mówi kto co chce, ale w pierwszym boju, w jakim żołnierz bierze udział, pierwsze armatnie strzały, szczególniej stojąc na pozycyi naprzeciw tychże, gdy ujrzysz błysk, kłąb zwartego dymu, potem za kilka sekund usłyszysz huk, a nakoniec zaświszcze kula po nad szeregami właściwym sobie arcy nieharmonijnym sykiem, jakby olbrzymiego węża, to proszę wierzyć, że pomimo wszelkiej rezygnacyi i usiłowanej odwagi, wrażenie, jakie oddziaływa ztąd na cały organizm człowieka, nie należy bynajmniej do ponętnych. Chociaż są w rzeczy samej wyjątkowe usposobienia ludzi, którzy po pierwszych strzałach zachwytując nozdrzami powietrza, oko im się rozpłomienia i całe jestestwo ich pała konwulsyjnemi ruchami, aby się z szałem rzucić naprzód w odmęt boju.

Te same objawy zauważyć można u koni; jeden stoi bez ruchu, strzygąc tylko usza-

mi, drugi kurczy się, opuszcza szyję i głowę ku ziemi i drży jak we febrze, a trzeci rozwarłszy nozdrza, łeb podnosi do góry, parska, rży, oko zatacza się dziko i trzymaj go go dobrze w munsztuku, bo cię poniesie samotrzeć w szeregi nieprzyjaciela.

To też gdy zagrzmiały pierwsze działa, kilka kul świsnęło po nad szeregami, granat zarył się na kilkanaście kroków przed frontem oddziału naszego strzelców, pudel czarny, który się zabłąkał z naszym sztabem, wracającym od parlamentowania z Blumenem, widząc kręcącego się w ziemi tego bąka i pykającego dymem, jakby palił cygaro, obskakując go w koło, naszczekiwał zajadle; — granat pęka, a z biednego pudla, rozerwanego na sztuki, jakiś kawałek przerzucony został aż po za nasze szeregi.

Zaczem opiszę dalszy przebieg boju, nie mogę pominąć zdarzenia, które odwracając uwagę na chwilkę od pruskich zastępów, wywołało homeryczny śmiech w szczupłych naszych szeregach.

Nasz dzielny kapelan ks. Popliński, więcej jak wysokiego wzrostu i niezłej tuszy, siedział na prawdziwie kapelańskim rumaku tak, że stopy jego w strzemionach two-

rzyły równą linią kolanami fornalskiego bachmata, który bynajmniej w sobie nie czuł bojowego porywu.

Skurczyła się biedna szkapina, nogi zaczęły drżeć, opuszczając łeb do ziemi. Już ten sam widok całości z jeźdzcem, z dodatkiem miedzianego kociołka ze święconą wodą i przytroczonego długiego kropidła, mógł w tak poważnej chwili każdego wprowadzić w wesoły humor. Dziwnie przytem odbijała się spokojna rezygnacya kapłańska dzielnego naszego kapelana.

Nadjeżdża Mierosławski, a spostrzegłszy księdza, stojącego z takim heroizmem przed kosynierskim frontem, zbliża się do niego i poleca, aby kapelan ustawił się za frontem, bo nuż kula armatnia nie raczy respektować jego osoby i przeniesie go do wieczności, to taki widok gotów wywrzeć niekorzystne wrażenie na kosynierach.

Ksiądz kapelan, chcąc być posłusznym rozkazowi naczelnika, szarpnął uzdą, uderzając równocześnie w bok rumaka nieuzbrojonym w ostrogę obcasem, usiłował udać się po za szeregi. Lecz do tego ruchu nie chciał się bynajmniej’ wierzchowiec zastosować i gdy admonicye kapalaną nie ustawa^

ły, zaczął wyrzucać raz łbem do góry, to znowu na dół, przyczem postawa jeźdźca jak wahadło u zegara odbywała odpowiednie kiwania.

Mimowoli parskała wiara śmiechem, nie szczędząc głośno rad swoich. Gdy jednak nawet i ujęte w rękę kropidło użyte odwrotnym końcem, nie wywierało pożądanego skutku na upór habety, nolens volens ks. kapelan zmuszony był opuścić terlicę i ciągnąć za uzdę jak w pługu, wyprowadzając konia po za front.

W tej chwili lepiej pokierowali Prusacy swe działa, bo wpadłszy kula sześciofuntowa w szeregi plutonu ułanów Zefiryna Chełmickiego, (w tym plutonie służyło pięciu Chełmickich, rodzonych i stryjecznych braci,) położyła dwa konie, a w mgnieniu oka druga znowu przeszyła dwa konie, urywając jednemu ułanowi obydwie nogi powyżej kolan.

Trudno pamiętać wrażenie i dreszcze, jakie przebiegły po szeregach, gdy ta pierwsza ofiara spadłszy z konia, który przed front wyskoczył, biedny ułan usiłował na rękach powlec się kilka kroków, ciągnąc za

sobą nogi, które się na skórze od rajtuzów trzymały.

Chwilkę zaledwie trwał nieporządek w plutonie, na komendę: “Pluton baczność! — Równaj się! — Stępu naprzód — marsz!” wyrównał się jak stary żołnierz i posunięty 30 kroków naprzód, stanął jak wryty.

Na prawem skrzydle reduty, gdzie wysunięty był na drodze oddział ułanów pod dowództwem Lipskiego i Henryka Tarło, kula armatnia urwała na prawem skrzydle ułanowi głowę. Koń, jakby odczuł ten cios, wyskoczył z szeregu zakreślając półkole przed frontem i podążył na lewe skrzydło do szeregu.

Dziwna rzecz, że trup jakby skamieniały, nie upuszczając cugli z lewej ręki i lancy z prawej, siedział jak struna w siodle i dopiero przez lewo-skrzydłowego oficera został zepchnięty.

Gęsty nieustający drobny deszczyk i cały widnokrąg okryty czarnemi brzemiennemi chmurami, dodawały temu bojowi niezwykłego groźnego charakteru.

Gerliccy strzelcy od Winnogóry pełzając w linii tyralierskiej ku lewemu naszemu skrzydłu, prażyli nieustannie strzałami

z gwintowanych sztucerów, na który żaledwo kilkunastu naszych strzelców, uzbrojonych tak samo w rozmaite sztucery, odpowiadało pod komendą porucznika Stanisława Niesiołowskiego.

Muszę jeszcze wspomnieć ciekawy moment, który charakteryzuje wielkopolskie kosynierstwo.

Strzał pruski armatni źle pokierowany zarychło zarył kulę w ziemię, która rekoszetując kilka razy odbijała się od ziemi, aż nareszcie tocząc się zwolna, utraciwszy niby ostatni pęd, mijała lewe skrzydło kosynierów, stojącego oddziału trochę w bok po za strzelcami.

Młody chłopak, liczący zaledwie może lat 18, w białej płóciance z kosą na ramieniu, wyskakując na jednej nodze, chciał drugą tę piłkę zatrzymać, lecz zaledwie jej się dotknął, odrzucony został na kilka kroków bez nogi po same udo i z wyrwanym bokiem ciała.

— Ach! — dało się słyszeć z szeregów, a za tern:

— A czemu taki ciekawy i łakomy?

— Myślał zapewne, że to gomółka sera, albo pyza, co mu matusia ugotowała!

Takie to były objawy humoru podczas tego pierwszego krwawego chrztu.

Wspominaliśmy o czerkiesie, który był przyłączony do sztabu naczelnika, otóż chodziło Mierosławskiemu o to, aby od *vis a vis* naszego prawego skrzydła, naprzeciw którego stały pruskie zastępy kawaleryi, przewidując możebny atak na oddział Lipskiego i Tarły, przekonać się, czy nie jest zamaskowana za kawaleryą artylerya konna. Zaledwie to wyrzekł, gdy dzielny czerkies salutując, naprzód marsz — marsz, a potem kłusem, nareszcie stępo podsuwał się na dzielnym koniu pod szeregi.

Niezawodnie był ten podjazd zagadką dla oficerów pruskich, stojących przed frontem po za doniosłością naszych strzałów, przypatrywali się więc z uwagą temu ciekawemu adjutantowi.

Czerkies podsunąwszy się niemal na doniosłość ówczesnego strzału karabinowego, osadowił konia w mgnieniu oka i stanął na kulbace, rozglądając się wygodnie po szeregach pruskich.

Tu już nie ulegało wątpliwości jaki zamiar był tej brawury. Do poskoku za nim jakoś bohaterowie pruscy nie mieli ochoty,

ale za to z ukosa posypały się rotowym ogniem strzały całego batalionu piechoty.

Czerkies uważał za stosowne nietylko spuścić się nazad na siodło, ale zwróciwszy konia i dając mu ostrogą, zwinął się po swojemu i tak zawieszony i zasłonięty umknął szczęśliwie po za doniosłość strzałów.

Niezadługo potem dały nam się słyszeć sygnałowe trąbki pruskie do szarży i równocześnie sunęły dwa zastępy, jeden olbrzymich kirasyerów, a drugi za nimi szląskiej landwery ułanów w pickelhaubach, lecz tak to jakoś szło im nieraźnie, że już naprzód można było przewidzieć, iż impet ich nie będzie zbyt ciekawy.

Mierosławski przewidując, że szereg nasz może być tą nawałą jednak zgniecony, posłał adjutanta z rozkazem, aby Lipski i Tarło przypuściwszy jak najbliżej kirasyerów, cofnęli się następnie po za okopy.

Pomimo gęściejszych strzałów armatnich na nasze lewe skrzydło i gęstszego ognia strzelców gerlickich, całe nasze zastępy zwróciły uwagę na ten odegrać się mający w tej chwili ciekawy epizod.

Prusacy, kirasyerzy, wpadając w kłus, zagrzmieli groźnem hurra! Proste pałasze,

jak krzyżackie miecze, błyszczały w ich rękach, a chociaż kirysy pokryte były płaszczami, już zdała słychać było można chrzęst zbroi.

Lipski na prawem a Tarło na lewem skrzydle, (obydwaj oficerowie z roku 1830; Tarło 17 letni wątły młodzieniec, co tylko ukończył szkoły na Żoliborzu w Warszawie, jedynak, zawieziony został przez matkę Zofię z Żarskich, znakomitą patryotkę do czwartego pułku ułanów, który się formował w ziemi sandomierskiej) pilnowali, aby wiarusy wytrwali spokojnie, dopiero gdy kirasyerzy wpadali na dystans 150 do 200 kroków w galop, przypuszczając ich jeszcze bliżej, zakomenderował Lipski do odwrotu, wabiąc tym sposobem rozmachane prusactwo pod redutę.

Nie tak to łatwo powstrzymać rozpęd. Kirasyerzy pruscy spostrzegli łapkę, ale za późno, bo gdy dzielny Węclesio wygarnął do nich z dwóch pukawek swego pomysłu kartaczami, a strzelcy podniósłszy się z za reduty, sypnęli gęstszym ogniem, warto było popatrzeć, w jaką kupę się zbiła ta marsowa hołota, zwracając końmi i zmykając co sił starczy.

Kilkunastu spadło, aby już więcej nie powstać; ale tego nie dosyć dla Węclesia, bo tak znowu dobrze wycelował, że pocisk z wichtu od zegara trafiając w sam środek uciekającej kolumny, która już była dłuższa jak szersza, przepołowił ję jakby duktem w lesie, a groźny zastęp nie oparł się, aż po za linią swoich szeregów.

— A wej go! a wej go! Patrzajta! patrzajta chłopcy! — adyć to te bestje nie takie straszne jak się zdają! Widzita jak im pilno! A nie rusz! a waruj! Niech żyją nasze harmaty! Niech żyje Polska!

Tak wołała całym chórem kosynierska wiara, która nabyła przekonania, że i pruskie dyabły nie takie straszne, jęk ich malują...

O tym czasie kawalerya Garczyńskiego z Nowego miasta, pod dowództwem Adolfa Malczewskiego, sławnego krzykacza, który przez nieoględność swoją dopuścił w roku 1846 na uwięzienie Mierosławskiego, należał do tych Mohabitczyków, którzy nie przewidując, że w procesie berlińskim stawieni będą przed publiczny trybunał, paplali haniebnie podczas indagacyi, co w postępowaniu publicznem zostało uwidocznione.

Z tej przyczyny pałając niby do Mierosławskiego gniewem nieustannym, jak to zwykle krnąbrna szlachta, jeżeli w żyłach jej nie płynie już osobista odwaga ojców, którą nocna szulerka i pijatyki ochłodziły, postanowił Malczewski pod pozorem słusznej zemsty, pozostawić Mierosławskiego wraz z zastępem miłosławskim własnemu losowi.

Ta haniebna sprawka udała mu się jednak tylko w połowie, bo gdy wyjechawszy przed front po poprzednich poszeptach, że idą na rzeź, przemówił do ułanów:

— Bracia! chcieliście się bić, oto jest nieprzyjaciel. — Ja idę formować partyzantkę!

Już samo to odezwanie się udowadnia aż nadto, że kunktatorowie Nowomiejscy tylko pod presyą ducha dzielnej wiary przyszli pod Miłosław, lecz tu im się zdawało, że wobec świstu kul i widoku poszarpanych ciał i trupów, zemkną wszyscy haniebnie ze swoim komendantem.

I w rzeczy samej, gdy widzieli jak Malczewski z kilkunastu adjutantami i adherentami wynosili się przez miasto, dążąc ku miłosławskim lasom, cały oddział, wynoszą-

cy około 150 koni poszedł za ich przykładem. Ale gdy dzielny Władysław Małecki, który się przebił z pod Książa w kilkanaście koni i co tylko przybył pod Miłosław, kilkunastu gorącemi słowami, rzucając hańbę w oczy, jaką się ułani nowomiejscy napiętnują, powstrzymał znaczną część i zszeregował.

Nie kwapili się Prusacy po niefortunnej szarży kawaleryi uderzać powtórnie na redutę, natomiast przeprowadzeni przez szpiegów żydów i kilku Niemców, zamieszkałych w Miłosławiu, usiłowali obejść nasze lewe skrzydło wskazanemi drożynami pośród moczarów i odciąć nas od miasta.

Było to już około godziny 12 w południe. Mierosławski nie odbierał wprawdzie raportów pomimo wysyłanych adjutantów naprzeciw Białoskórskiego, czy tenże zajmie rychło wskazaną pozycyę na tyłach pruskich od Białego Piątkowa.

Licząc się z czasem ostatniego raportu mógł być przekonanym, że to niebawem nastąpi, znając Białoskórskiego, jako zdolnego i odważnego oficera.

Dalsze rdzenne trzymanie się wobec przeważnych sił pruskich, było zresztą nie

tylko bezowocne i narażające na ciężkie straty, ale zagrażało zupełnem nas odcięciem, a tem samem zgnieceniem.

Kosynierzy stojąc bezczynnie w miejscu, gdy pociski pruskie co chwilę wyrywały z ich szeregów ofiary, trudno się dziwić, że po tylogodzinnem staniu od 4ej rano, prawie naczczo i wśród deszczu, zaczęłli się niepokoić i chwiać. To też po danem rozkazie do. odwrotu, szybko wynosili się do miasta.

Podziwiać należy, że wśród morderczego ognia i następujących już kolumn pruskich, odwrót ten pod grozą widzialnego odcięcia, nie zamienił się po prostu w dziką ucieczkę.

Oddziałowi naszemu strzelców miłosławskich nakazanem zostało cofać się wolno obronnie. Rozkaz ten pod bacznem okiem kapitana Lange i starego pułkownika Ludwika Oborskiego, który to ostatni ubrany w czarny rajtfrak, w płaszczyk takiego koloru z krótką pelerynką i w składanym cylindrze na głowie [chapeauclaąue], nie wypuszczając cygara z ust, tak samo Lange, taką zimną krwią operowali, tak umieli podtrzymać spokój ducha strzeleckiego, że się

zdawać mogło, jakby się cała afera odbywała na mustrze ślepymi nabojami.

Podtrzymywał nas także pluton strzelców nowomiejskich pod komendą, dzielnego kapitana Goślinowskiego i porucznika Wnukowskiego.

Odwrót nasz odbywał się przez przedmieście ulicą, zabudowaną stodółkami miejskiemi, pośród opłotków, po za któremi po prawej stronie, ciągnęło się kilkaset kroków wzgórze, pokryte sadami.

Wcisnąwszy się w te opłotki, przywitał nas morderczy ogień rotowy pół batalionu piechoty 19go pułku, na dystans najdalszy 60 kroków, z za którego to wzgórza pokładłszy się na brzuchach piechota pruska strzelała do nas na dół, jak do wąwozu.

Po dziś dzień nie pojmuję, jak się to stało, że taki grad kul przynajmniej nas nie zdziesiątkował i zaledwie mieliśmy jednego zabitego i kilku rannych. Pomiędzy tymi akademika Andrzejewskiego, który dostawszy kulą w udo, odwracając się ku wzgórzu powstającego podoficera w sam łeb pomiędzy oczy jeszcze kulą trafił.

Po za tym parowem był mostek, pod którym płynął strumyk, a dalej już zamieszkałe domki aż do rynku.

Nie wiedzieć z czyjego rozkazu postawiono z tamtej strony mostku na poprzek drogi dwa ciężkie wozy, naładowane nawozem. Aby przez takowe lub pod niemi była w tej chwili bardzo miła przeprawa, tego nie powiem, gdyż Prusacy nie przestawali nas prażyć.

Druga ulica, idąca od zachodu do rynku, nazwana Żydowska, jako też następne były już przez strzelców gerlickich obsadzone. Na wylocie ulicy do rynku, którąśmy odbywali odwrót, była po prawej ręce, jak na Miłosław, duża kamienica piętrowa, w której na dole mieścił się handel korzenny i win kupca Brzozowskiego, a po drugiej stronie obszerny szynk i piwiarnia. Na piętrze były mieszkania i kasyno mieszczańskie.

Otóż ostatni pluton strzelców pod komendą podporucznika Kornela Gabryelskiego, tak się opóźnił i zaawanturował z Prusakami, obstrzeliwując tychże w ogrodach, że główna część oddziału mogła się już tylko przebić wzdłuż miasta po za kościół ku pałacowi.

Gabryelski z jednej strony widząc, że pluton jego zostanie bezwarunkowo zdziesiątkowany na wylocie ulicy Żydowskiej,

z drugiej strony mając sobie rzucony już poprzednio pospieszny rozkaz przez Mierosławskiego, co ma czynić, jeżeli Prusacy zostaną w łapkę wprowadzeni, zamknął się w tej kamienicy, do czego mu świetnie pomagały mocno okratowane okna całego parteru, tak samo mocne drzwi, zasuwane zaporami.

Manewr ten niebezpieczny tak się szybko odbył, że Prusacy nie domyślali się nawet zkąd ich powitają trafne strzały. W takiem położeniu zabarykadowawszy mocno wchody, oczekiwali straceńcy co się dalej stanie.

Dalsza przeprawa strzelców ku pałacowi stawała się coraz trudniejszą żydowstwo poprzeprowadzało prusaków zaułkami, którzy nie wytykając nosa, coraz silniej nas razili. Dlatego oparcie się zamierzone poprzednio poza ogrodzeniem parku było już niemożebnem, i potrzeba się było wynosić drogą na lewo wysadzoną topolami, prowadzącą do folwarku Kozubca. Wtenczas wydobywszy za miasto pułkownik Oborski i Lange zaczęli nas natychmiast formować i już pod ochroną topoli odstrzeliwaliśmy tyralierom pruskim. Prowadziła równocze-

śnie od pałacu z drugiej strony droga ku Białemu Piątkowu, czyli do Nowego Miasta.

Pierwsza i druga rozchodziły się widłami, a obydwie na wiorstę drogi odległości od miasta zamknięte było gęstym lasem sosnowym. Przedział ten od miasta do lasu było to pole wznoszące się cokolwiek ku lasowi. Podstawę rozchodzącej się drogi tuż pod miastem tworzyły zabudowania gospodarcze, dworskie okolone po większej części niewysokim murem.

Zaledwieśmy się wydostali na połowę wysokości drogi pomiędzy miastem a lasem, formowały się równocześnie po lewej naszej ręce na polu kupki kosynierstwa, a w rowie odgraniczającym las, zaczajeni byli strzelcy nowo - miejscy.

Nasi ułani miłosławscy i ci nowomiejscy, co nie drapnęli z Malczewskim, szykowali się z drugiej strony pola po nad drogą nowomiejską.

W tej chwili zaczęła debuszować z miasta pruska kawalerya, najprzód kirasyery, którzy się tak bohatersko pod redutą spisali, za nimi ułani, czarne huzary z trupiemi głowami i w końcu żółte, w tern przekonaniu, że potrzebują już tylko rąbać i go-

nić uciekających powstańców. Lecz spostrzegłszy, że się wiara na nowo formuje, i na ich widok bynajmiej nie szuka ochrony w sosnowym lesie, powstrzymali zapały pościgów i zaczęli się formować w głęboką kolumnę. Zaraz po nich debuszował batalion piechoty.

Gdy to się dzieje, Mierosławski, który ze sztabem swoim stał na wzgórku, i obserwował manewra pruskie, wyjeżdża z lasu drogą od Nowego miasta, kawalerya pleszewska, a na jej czele sadzi w niedźwiedziej burce Białoskórski, który zamiast zająć tyły Prusakom od Białego Piątkowa, poprostu z braku posłuszeństwa wylazł tutaj. Nie można się też dziwić, że go Mierosławski nie bardzo serdecznie powitał

O wycofaniu na właściwą pozycyą pleszewskiego oddziału nie mogło być już mowy, bo gdy go pociski armatnie już dosięgały, mógł się taki odwrót, mianowicie w lesie, łatwo zamienić w rozsypkę.

Z drugiej strony tej chwili dały się słyszeć trąbki sygnałowe i kawalerya pruska frontem plutonowym głęboką kolumną 600 koni liczącą wpadła już w kłus; aby niedopuścić sformowania się drobnych od-

działów. Kosynierstwo zaczęło zdaleka formować kolumny uderzając w kosę.

Z naszych ułanów stojących ponad drogą nowomiejską porwało się ze 40 koni na ochotnika, na czele których Władysław Kosiński, szef sztabu nowomiejskiego i młody ułanek, liczący zaledwie 18 iat, Ludwik Zboralski (obecniez nany kupiec w Pleszewie w Wielkopolsce), pierwszy się wpruli w kirasyerów. Za nimi Aleksander Daleszyński, porucznik i Atanazy Kiciński, podoficer (major w 1863 r. pod Czachowskim) mając tuż za sobą kilkunastu tęgich Maćków wielkopolskich w białych płótniankach.

Patrzeliśmy jak na scenę, nie mogąc strzelać bez rażenia naszych, jak Zboralski i Kosiński wpadłszy w środek kirasyerów zlecieli zrąbani z koni. Lance naszych Maćków po przeszyciu płaszczy ze zgrzytem zsuwały się po kirasach, dopiero gdy Aleksander Daleszyński widząc to, krzyknął: “Bracia! po łbach drążkami!” jakoś to lepiej przypadało do smaku naszym ułanom, którzy niemiłosiernie zaczęli po pickelhaubach łomotać.

Mierosławski porywając kosynierów majora Prądzyńskiego około 200, po kilku gorących słowach z okrzykiem “hurra na Niemców!” prowadzi ich osobiście na czele kawaleryi. Ale Niemiec wcale nie miał ochoty spróbować, jak to goli polska kosa, to też zanim Mierosławski z kosynierami dopadł, zbijając się w jedną kupę, jak, stado owiec nawet bez *rechts urn Kehrtd!* kirasyery. ułany i huzary, pchając jedni drugich, umykali ku miastu, roztratowawszy 2 półbataliony 7go i 19go pułku własnej piechoty, rozbijając tak samo swą artyleryę konną, wydobywającą się z miasta. Potrzeba było takiego Józefa Czapskiego z pod Książa, aby ten uderzywszy w bok kawaleryą, mógł był wpędzić Prusaków do stawu po za drogą. Kawalerya pruska nie oparła się aż za miastem.

Prusacy zabrali tymczasem pałac i usadowili się na folwarku i na całej zachodnio-południowej części w poprzek drogi nowomiejskiej, obsadzając silnie olszynkę w parku. Na wylocie ulicy prowadzącej z miasta na drogę ku Nowemu miastu, ustawili Prusacy na małym pagórku dwa działa, zkąd najprzód sześciofuntowemi kulami prażyli

na debuszujący oddział pleszewski Biało-skórskiego z lasu a następnie kartaczami strychowali drogę, wysadzoną po obu stro nach wierzbami. Po lewej stronie od strony miasta na 150 kroków odległości od bramy folwarcznej były piece ceglane. Otóż po za temi, jak i z po za silnej reduty demoralizowali gerliccy strzelcy celnemi strzałami sztucerów formujących się w oddziały do powtórnego ataku na miasto. Już nie pamiętam z jakiego powodu, zdaje się jednak, że dla osłony kosynierów, których Stanisław Poniński prowadził i Maksymilian Ogrodowicz, przerzucono nasz pluton strzelców pod dowództwem Józefa Klata na drogę nowomiejską, dla wzmocnienia strzelców pleszewskich pod dowództwem pułkownika Kuszla (z roku 1831 dowódzcy wolnych strzelców). Przecinając biegiem tę przestrzeń od kozubieckiej drogi, karabinowe kule pruskie, jak rój os brykały, świstały po nad naszemi głowami, a raz po raz utknął strzelec, lub kosynier trafiony. — Najgorsza przeprawa była w tem miejscu, gdzie Mierosławski z adjutantem Ruszczewskim porządkował piechotę Garczyńskiego po nad brzegiem lasu. Szczególną

predylekcyę mieli gerliccy strzelcy do jego siwka. Piorunującym głosem i krótkiemi zwrotami mowy wprowadzał porządek w bezładną masę.

Ogień ze strony pruskiej był morderczy, gdy przeciwnie nasza broń niedalekonośna i zamokła sprawiała nam nie mały ambaras. Dobiegając nowo - miejskiej drogi, w towarzystwie już teraz ś. p. Leona Kaplińskiego (znanego później artysty - malarza, który żywot swój przed kilku laty zakończył w Miłosławiu po powrocie z tułactwa) spostrzegamy w białej chłopskiej płótniance wielkopolskiej, białej krakusce na głowie, z przewieszonym przez plecy krótkim sztucerem i podniesionym w ręku pałaszem, prowadzącego obok Kuszla strzelców pleszewskich, znanego nam i od wszystkich kochanego Karola Brzozowskiego, poetę. “Witaj Karolu” — Witajcie bracia, na przód!”

Jakby na powitanie sypnęła się salwa kartaczowa, kładąc kilkunastu rannych i trupem. Wiara zaczyna się mięszać, Brzozowski usiłuje prowadzić naprzód, bo wszystko w tym momencie zależy od sforsowania drogi i wzięcia pieców ceglanych.

W tej chwili zjawia się na koniu galopem w podskokach szczególna postać ubrana w długi surdut, po szyję zapięty, poobrywany i powypalany przy ogniskach obozowych. Na głowie ciemna stara rogatywka z daszkiem, zamiast podpinki sznurkiem podwiązana, aby z głowy nie spadła. W lewem ręku cugle i krucyfiks, a w prawem wzniesiony w górę zardzewiały pałasz. Twarz nieogolona zażółkła, a cała postać wątła i drobna. Tylko z oczów tryskał nadziemski ogień zapału. Brwi zmarszczone, z których zdawało się jakoby piorun miał w tej chwili uderzyć. *)

---

*) Tym nieustraszonym kapłanem był ks. Sylwester Balcerowski proboszcz z Kretkowa pod Żerkowem, kapelan z r 1831. Był to mąż nietylko znany z wielkiej miłości ojczyzny, ale i niepośledniej nauki. Szczególnie w dziale przyrody; pracował wiele w fizyce, botanice i chemii, był on księdzem na wzór Kołąttaja i Staszyca, ograniczał się do mininum we własnych potrzebach, ale mając jedną wadę t. j. nazywania każdego i wszystkiego po nazwisku, narażony był nietylko na prześladowanie Prusaków, którzy go po fortecach wozili, ale i na niechęć duchowieństwa, któremu w oczy wypowiadał gorzką prawdę gdzie się tylko tógo potrzeba okazała. Ale nie był to zgryźliwy śledziennik, jak by to można było sądzić z jego powierzchowności, ale w każdem, chociażby najtrudniejszem położeniu żywota, tryskała jenialnym humorem. Przez kilka lat był wikaryuszem przy kościele św. Wojciecha w Poznaniu, gdzie całe jego pomieszkanie przedstawiało obraz dawnych przybytków alchemii, płatając przy sposobności za pomocą elektryki rozmai-

“Strzelcy! — Bóg ojców naszych patrzy na was! — potrzeba zwyciężyć! — Inaczej hańba nam! — Na wroga! — w Imię Boże — Za mną!

I dając wprawdzie ostrogę koniowi, opuścił pałasz na temblaku w prawej ręce, ujął w nią krucyfiks i wzniósłszy po nad głową na w pół ku nam zwróconą, zażegnując morderczy ogień, poskoczył środkiem drogi pod grad kul pruskiej piechoty.

— Hurra! W imię Boże! — zagrzmiała wiara natchniona ogniem męztwa kapłana, w mgnieniu oka przebiegła przestrzeń stu kroków, lecz taką salwą została przywitana, że nie chcąc się narazić na zupełną zagładę, już się miała cofać, gdy nieustraszony ks. Balcerowski, któremu kilka kul poszarpało odzież, i koń został ciężko raniony, zeskakując z tegoż stanął na naszem czele, a dzielny kapitan Lange zakomenderował abyśmy się w lewo i w prawo rzucili w rowy, dość głębokie, napełnione do połowy wodą, odgraniczające drogę od pola. Sam

---

te figle handelesom. Wychowywał zawsze kilka sierot, a tak był miłosierny, że często do mszy św. pożyczał butów od organisty. Czasami po całych dniach cierpiał głód, byle tylko swoje sieroty nakarmić. Umarł po r, 1848 zabity przez Prusaków w Kratkowie.

jednak ks. Balcerowski postępował środkiem, trzymając w lewej ręce krzyż wzniesiony, a w prawej pałasz, wołając nieustannie “Naprzód! — Naprzód bracia!”

Po prawej stronie drogi po nad brzegiem rowu obsadzony tenże był łożiną. Osłona ta była nam bardzo na rękę, albowiem niepostrzeżenie brnąc nieomal po pas w wodzie, podsunęliśmy się aż po za piece ceglane, gdzie biorąc już prawie z tyłu gerlickich strzelców i kładąc kilku trupem, reszta zaczęła w największem popłochu uciekać ku folwarcznej bramie, z której w tej chwili wysypywała się piechota. Zająwszy pozycyę za piecami, zaczęliśmy nareszcie skutecznie prażyć w czerń wylewającą się z bramy, a ściśniętą w jedną masę.

Jeden w pierwszych dostał major pruski, siedzący na koniu. W tej chwili przechylił się na bok, ale zawisł dla braku przestrzeni na pickelhaubach swoich piechurów.

“Loftkami strzelcy!” — krzyk kapitana Lange, a miał z nas każdy przynajmniej po 10 takich nabojów w ładownicy, to też na odległość najwyżej do 120 kroków skutek był odpowiedni.

Reszta strzelców pleszewskich zdobywała krok po kroku ogrody na lewo i pierwszy plan parku, gdzie z Olszynki, obsadzonej gęsto pruską piechotą 7 pułku, słychać było nieustający trzask rotowego ognia. Na prawem skrzydle dzielne kosynierstwo, trochę strzelców Miłosławskich, a mianowicie pluton porucznika Kazimierza Błociszewskiego i nowo - miejscy z kapitanem Goślinowskim (synem obywatela z Gniezna), przy odgłosie bębnów kosynierskich, w które bijąc do ataku, postępowało o kilkanaście kroków, naprzód dwóch prawdziwych bohaterów, a byli nimi młody żyd poznański, faktor hotelowy szlachty, dwudziestokilkoletni Szrymski i rębacz czyli drwal. Wróblewski, ojciec licznej rodziny, znany w całym Poznaniu ze swej jowialności i nienawiści ku Niemcom.

Żyd Szrymski i Wróblewski wraz z kosynidrstwem, z których każdy prawie owiniętą miał lewą rękę różańcem, wyjąwszy żyda, zaintonowawszy hymn “Kto się w opieką podda Panu swemu,” wolnym i pewnym krokiem zdobywali trudną pozycyę i zmusili pruską piechotę do cofania.

Porucznik K. Błociszewski wyparował nieprzyjaciela, biorąc ogród po ogrodzie.

dom po domie wraz ze strzelcami nowomiejskiemi zuchami porucznikami Józefem Przyłuskim, (siostrzeńcom arcybiskupa) Wnukowskim, aż na koniec ulicy ku rynkowi, rażąc już Prusaków w lewej stronie parku usadowionych,

Nie potrzebuję mówić, że Mierosławski, pułkownik Oborski, Jabłkowski, St. Poniński, adjutanci Ruszczewski, Ludwik Sokolnicki, byli wszędzie w pierwszej linii, zagrzewając kosynierską wiarę i wskazując na zagrożone punkta.

Adjutant Domagalski (zginął w roku 1863 pod Radziwiłowem), pod którym ubito konia, porwawszy gwintówkę i ładownicę od rannego Strzelca, stanął w naszym szeregu wraz z Kazimierzem Jaruchowskim (obecnie członkiem akademii krakowskiej umiejętności).

Kochane nasze kosynierstwo tak się darło naprzód, że chwilami uniemożebniało nam strzelanie. Sztandar jego, który dzierżył chorąży Nepomucen Seifryd, przodował otoczony przez kapitana Maksymiliana Ogrodowicza, poruczników, Józefa Lekszyckiego, Szyszyłowicza, Waleszyńskiego, kilkunastu sążnistych chłopów od Wrześni

i Środy i poznańską elitę drwalów, rzeźników, szewców, dalej kapitanowie z r. 1830 Koszkowski, Kolski, przedzierając się przez płoty, wbijali się jakby taranem w pruskie

zastw'

Strzelając jeszcze z wyżyn pieca cegielni. widzieliśmy jak bosy kosynier, chłop nielada, przesadziwszy płot z kupką towarzyszy dopadł opasłego majora, który nie mogąc swoich bohaterów utrzymać na pozycyi, zrzuciwszy płaszcz z siebie umykał za nimi. Kosynier dopadł go z tyłu i tak płatnął kosą, że pickelhauba wraz z czaszką roztworzyła się jak tabakierka i runął naprzód.

W tem mieście gęsto już świstały kule z wyżyn okien pałacowych, który Prusacy silnie kilku kompaniami obsadzili, ale strzały te nie żenowały naszego bosego ducha. W mgnieniu oka zdjął z majora mundur ze srebrnemi frendzlistemi szlifami i rzucając swą płótniankę, przywdział go na siebie. Tak ubrany świetnie z podniesioną kosą, szedł dalej z towarzyszami, którzy mu krzyknęli “Niech żyje Wojtek!” — dalej za hołotą pruską.

Na lewem skrzydle od Olszyny łomot karabinowego ognia nie ustawał, ale się wzmagał i tam słychać było taraban kosynierski, a nieustające “Hurra!” “Naprzód” oznaczało, że tam Prusacy twardo stoją pod zasłoną drzew. Podjeżdża do nas Mierosławski z gołą głową i podniesionem pałaszem woła “Lange! — Domagalski! a bierzcież tych zuchów! — i naprzód!” — Wziąć pałac natychmiast.

— “Gdy nieprzyjaciel uciekać będzie z Olszyny, brać go na kosę!”

Mierosławski spiął konia i ruszył w lewo pod silnym gradem kul, aby główną część oddziału Białoskórskiego ze strzelcami Kuszla na czele wyprowadzić bezwarunkowo na lewe skrzydło miasta, aby tym sposobem Białoskórsld zacietrzewionemu nieprzyjacielowi w mieście zajął tył od Winnogóry, co z największą łatwością dało się w tej chwili uskutecznić. Mierosławskiemu, który od nas odsądził kilkadziesiąt kroków: raniono w tej chwili konia, było to na mostku pomiędzy pałacem a folwarkiem. Aleksander Gutry podał mu natychmiast drugiego.

W tym momencie można było rozpoznać, że oprócz trzaskaniny karabinowej, jaka szła na linii zacząwszy od Olszyny, pałacu, zabudowań folwarcznych aż do prawego skrzydła gdzie Błociszewski Kazimierz na wylocie ulicy do miasta prażył już Prusaków usadowionych pod kościołem i przyległych budynkach w mieście, toczył się jakiś drugi bój w środku miasta.

Była to bohaterska obrona bazaru, w którym jakto wprzód nadmieniliśmy, zabarykadował się porucznik Gabryelski ze swym plutonem strzelców. Nie mając wyżej nad 40 ludzi, tak dziarsko utrzymywał celny ogień, że dwie kompanie siódmego pułku piechoty bezskutecznie się kusiły, aby wziąć szturmem tę improwizowaną fortecę. Usiłowali Prusacy od tyłu podłożyć ogień, ale i to się nie udawało, bo za nim odważniejszy się zbliżył, rażony lotkami, padał trupem.

Węclewski usadowiwszy się ze swemi pukawkami na rozkaz Mierosławskiego na pagórku za folwarkiem, spisywał się tymczasem niepospolicie, plując pseudo - kartaczami, czyli siekanem żelazem i gwichtami

pod kościół, gdzie Prusacy oprócz pałacu chcieli stawić główny opór.

Na naszej linii rozstawiają, się tacy bohaterowie, jak pułkownik Ludwik Oborski, Stanisław Poniński, Lange, Domagalski, zagrzewali strzelców i tuż sukkursujące poczciwe kosynierstwo i braliśmy jeden budynek po drugim, płot po płocie, ogródek po ogródku i nieomal drzewo po drzewie, przyznać trzeba, że Prusacy w tern miejscu chcieli nas za jaką bądź ^cenę odeprzeć.

Tak wzięliśmy całą tę płaszczyznę na wzgórzu, po za którą było wklęsłe zagłębienie, okalające pałac, a 200 kroków szerokie. Środkiem tego zagłębienia ciągnął się kanał, na sążeń szeroki takiejże głębokości, ocembrowany drzewem, napełniony do połowy wodą. Prusacy mieli jakby trzy obronne linie w amfiteatralnej pozycyi.

Pierwsza linia tyralierska po za kanałem ukryta za krzewami i drzewami parku, łączyła się z Olszynką, o której poprzednio już eśmy wspominali, gdzie zacięty bój toczył się przeszło godzinę.

Parter pałacu od strony północnej, czyli miasta, równał się jak zwykle z poziomem, od strony zaś południowej, czyli na-

szej były pod nim suteryny, a więc był on wysokości dobrego pół - piętra. Oprócz tego nad parterem było pierwsze piętro, a po prawej stronie, czyli od zachodu sterczała ponad pałac wieża z rodzajem obserwatoryum. Do pałacu był tylko wchód od frontu na północnej stronie i dwa drugie z boków, do których dostać się można było po kamiennych wschodach. Na frontonie pałacu od miasta, był wielki podłużny gazon z okalającym go zjazdem, długość jego aż do bramy żelaznej, odgraniczającej park od miasta, wynosiła około 150 kroków. Po za tą bramą był oprócz ulicy wolny plac podnoszący się z nowu w górę na długość sto pięćdziesiąt kroków, zamknięty po prawej stronie od rynku kościołem murowanym, okolonym starym murem, wysokości 6 stóp który już w kilku miejscach był poszczerbiony. Lewą i prawą stronę tego placu zamykał szereg domów, krytych gontem.

Drugą linię obronną stanowiła załoga, osadzona na parterze, pierwszem piętrze i wieży w pałacu, gdzie najcelniejsi strzelcy utrzymywali ogień, a drudzy im nabijali broń. Trzecią linią była wyżyna ulicy, prowadzącej od bramy pałacowej od rynku

i osada 19go pułku na cmentarzu kościelnym pod dowództwem kapitanów Knora i Tikelmana (Polaka).

Zadaniem tej trzeciej linii było obstrzeliwanie kartaczowym ogniem wylot drogi od Kozubca, gdzie Błociszewski i Józef Przyłuski tak dzielnie ze strzelcami nacierali, unicestwiać ataki.

Około godziny 3ej nareszcie spostrzegliśmy, że piechota pruska, parta już białą kosą, poczęła co tchu zmykać ku pałacowi

W tej chwili Lange i Domagalski wydając szybkie i energiczne rozkazy stanąwszy z dobytemi pałaszami na czele, z okrzykiem “Bóg i Polska!” — ruszyli pędem naprzód z góry, a kilkudziesięciu naszych strzelców i drugie tyle kosynierów za nimi.

Prawdziwie morderczy ogień sypał się z okien pałacu, nie było więc czasu do stracenia, jak tylko jednem tchem w pędzie przesadzać sądniowy kanał, lub też po jarzmach cembrowania szybko przechodzić i tak dostać się pod samą ścianą pałacu, gdzie nas już strzały nie mogły razić. Przyznać trzeba, że ci, co nie poszli z pierwszym impetem, szybko nabierali odwagi po kilku, po kilkunastu dążyli, aby nas wzmocnić.

Lange krzyknął:

— Strzelcy! lotki w lufy! i biorąc jedną kupą, a Domagalski drugą, tuż pod murami rzuciliśmy sią na boczne wschody do pałacu.

Zaledwo padło po kilkanaście krótkich urywanych strzałów z obydwóch stron, t. j. Prusaków, usadowionych w sieniach i nas szturmujących, a w mgnieniu oka już była sień boczna z prawej strony zdobyta.

Znowu urywane strzały w głąbi komnat, a kosynierstwo nas pcha naprzód, Prusacy w największym popłochu oknami, dzwiami frontowemi obstrzeliwając sią, umykają po gazonie ku bramie i ku kościołowi. Kosynierstwo żga i rąbie, a my do okien frontowych na parterze i dalejże prażyć za uciekającymi. Odebraliśmy kilkanaście karabinów i ładownic po rannych i zabitych Prusakach, które nam w tym momencie oddały wielką usługą, gdy już nasze dubeltówki nie donosiły do muru kościelnego.

Pamiątam jak dziś, jak we framudze jednych z trojga drzwi do połowy oszklonych, które na gazon wychodziły, stałem ja i Kazimierz Jaruchowski, nabijając świeżo zdobyte karabiny. Kulka sztucerowa świsnąła

przebijając dolną część drzwi, a za nią druga i trzecia i pomimo, żeśmy jeden od drugiego zaledwie na kilkanaście cali byli oddaleni, jakoś nam się nic nie oberwało, w każdym wypadku uznaliśmy za stosowne stanąć za oknem, gdzie przyklęknąwszy do strzelania byliśmy mniej więcej zasłonięci od ognia, który się potem jak grad sypał.

Nagle słyszymy ze schodów na piętrze, prowadzących do wieży kilka strzałów i okrzyk: “A dalejże na nich!” Równocześnie kilku Prusaków zeskoczyło z piętra oknami, lecz tym, co byli w wieży, już się rejterada nie udała, kilku kosynierów »vpadło, zarąbali dwóch, a podoficera wyrzucono z trzeciego piętra oknem.

Był to przykry widok i mógł by postępek taki nazwać ktoś barbarzyńskim, gdyby go nie tłomaczyło okropne bestyalstwo, jakiego się Prusacy w pałacu dopuścili.

Pałac ten przedstawiał w całości nader cenne mezuem sztuk pięknych i zabytków starożytnych, bo właściciel ś. p. hr. Seweryn Mielżyński był nietylko znawcą i lubownikiem, ale sam niepoślednim artystą-malarzem, a jako gorący patryota, ukochał przedewszystkiem co swoje i polskie. Zbio-

ry najcenniejszych rycin, obrazów olejnych, rzeźb, pamiątkowych mebli, sprzętów kosztownych z dawnych źwierciadeł weneckich, wykopalisk, zbiorów przyrodniczych wyborowych książek, nakoniec relikwii narodowych, było tam bez liku, i cały pałac tworzył jakby świątynię Sibilli.

Do śmierci nie zapomnę wrażenia, jakie na mnie i na innych towarzyszach boju sprawił widok, gdyśmy po wyparciu Prusaków obejrzeli się w koło. Pastwiono się w najohydniejszy sposób na tych, którzy nie zdążyli wycofać się, każdy trup poległych bohaterów wolności liczył po kilkadziesiąt ran od bagnetów, prawie każdy miał powydłubywane oczy, a konali tacy, którym pałaszami wydarto języki. Były i odkryte kalectwa, o których trudno na tern miejscu wspomnąć.

Nie dosyć na tern, wszystko co się tylko znajdowało w pałacu zniszczył ohydny wandalizm, obrazy, rzeźby, meble, piece, posadzki, wszystko to było porozbijane, podarte, połamane, potłuczone i porąbane. Faktem jest: że oficerowie własnoręcznie przerzyi! najkosztowniejsze obrazy, nie przepuszczono nawet “Boga Rodzicy” w komna-

cie sypialnej ś. p. hr. Sewerynowej Mielżyńskiej.

Widok ten był tak oburzający, takie okrzyki grozy wyrywały się z piersi, i z taką wściekłością rzuciła się nasza wiara na Prusaków, że wyrzuceniu podoficera z trzeciego piętra nie można się dziwić.

Pamiętam starego wiarusa Kapotczyńskiego, żołnierza z czasów Kościuszki, Napoleona i roku 30. Był to rzadki typ dziś już nieznanego, tylko w powieści leśnika, który od dzieciństwa w międzyaktach bojowych, pełnił służbę u rodziny Szołdrskich- Blisko lat 70 na karku, a włos miał czarny, i gdzieniegdzie zaledwie przebijał się siwy. Średniego wzrostu, chudy jak szczypa, nosił się trochę pochyło, twarz pomarszczona pargaminowego koloru, krzaczaste brwi i kosmyki wąsów, nadawały mu zawsze marsowatą fizyognomię. Na mundurze strzeleckim, ciemno-zielonego koloru z czarnemi wyłogami, miał przez ramię przewieszoną i dobrze wyładowaną żywnością i wszelkiemi przyborami starą myśliwską torbę, która, jak powiadał, służyła mu już blizko lat 50. Na prawym boku zawieszona była na rzemieniu blaszana flaszka obszyta w skórę,

zawierająca *netto* pół garnca alkoholu. Była to towarzyszka z czasu, gdy stary Józef służył w 31 roku w strzelcach Grotusa. Takiegoż wieku sięgała i gwintówka dwururna. Kapołczyński był jednym z najlepszych strzelców w Wielkopolsce — lubiał pociągnąć, ale pomimo tego nigdy głowy nie zaprószył. Jowialny i serdeczny, chociaż “czuj-duch!” bo w służbie, jako stary sierżant nie żartował, i za najmniejsze nieposłuszeństwo “uczył smarkaczów moresu.”

— Czuj-duch smarkaczu! — maminsynku, pod pierzynę, albo słuchaj!

Podczas boju miał okręconą lewą rękę długim różańcem, i śpiewając godzinki, zerkał tylko szarem głębokiem oczkiem na wszystkie strony, a gdzie tylko migła pikelhauba, tam zmierzył, i wypalił, a trup niezawodny.

Otóż i ten stary borsuk dziwnie poruszył wąsami i wydął wargi na widok humanitarnej pruskiej gospodarki, tylko raz zgrzytnął zębami: i jak lew ryknął: “chłopcy! — kto o pomstę do Boga woła! — Za mną!” i z młodzieńczą siłą poskoczył naprzód, prowadząc nas w gradzie kul pod

bramę dziedzińca, zkąd rozpoczęliśmy skuteczniejszy ogień ku kościołowi.

Na prawo od nas prażył już ze swym plutonem porucznik Józef Przyłuski. Był to dorodny, piękny i wysoki młodzian, i tak się zacietrzewił, że wskoczywszy na mur cały odkryty, palił strzał po strzale z broni, którą mu wiara nabijała. Nawet stary Kapołczyński krzyknął na niego; “ej poruczniku, to niepotrzebne!”

Wkrótce potem dostał kulkę w skronie, i zleciał w znak do ogrodu*").

Z lewej naszej strony porucznik Konrad wdarł się w ulicę i do domów, położonych wyżej cokolwiek od cmentarza kościelnego, gdzie skutecznie dziesiątkował kompanie pruskie.

W tej chwili przybiega Lange i bierze nas kilkunastu dla wzmocnienia plutona Kazimierza Błociszewskiego, który Prusacy gwałtem chcieli wyprzeć z pod karczmy, na Kozubieckiej również przy wylocie ulicy do rynku i z poza murowanej kuźni.

---

*) Józef Przyłuski, któremu kula karabinowa utkwiła w skroni, umarł dopiero w Poznaniu po trzech miesiącach, mając nieustannie tę kulę w głowie bez możebności operacyi.

Tu znowu przypominam sobie niskiego, barczystego, siwego starca, który mając przy boku syna najwyżej 16 lat liczyć mogącego, nabijał z nim potężny długi garłacz, który oparty był na trójnogu, podobnym jak u stolików mierniczych, tylko lżejszym i składanym. Jak mi później powiadano, sypał do niego garścią grankulki, a jak huknął w kupę, to skutek był nielada. Z największym spokojem śpiewał przytem “Kto się w opiekę podda Panu swemu.”

Prusacy nie żałowali kartaczowego ognia z wyżyny ulicy poza kościołem, aby tem powstrzymać ataki kosynierów. Boiciszewski *) postrzelony w nogę kartaczem padł.

Lange, Oborski, biegając na wszystkie strony, zagrzewają wiarę do szturmu na cmentarz.

Pułkownik Jabłkowski z dobytym pałaszem prowadzi naprzód kilkudziesięciu kosynierów. Tuż poza nimi młody dobosz z gołą głową, żyd Szremski, tarabani “ran!

---

*) Błociszewski Kazimierz mchabitczyk, literat, oddający się badaniom historycznym, poddał się amputacyi nogi i żyje dotąd w Paryżu. — Był to jeden z najgorliwszych emisaryuszów w latach 1844 i 1845. Brat jego rodzony liczący zaledwo ośmnasty rok, dzień przedtem stracił prawą rękę pod Książem, wyleczony, żył później na emigracyi.

ran! ran!,” oko mu błyska i woła za pułkownikiem: “Naprzód!” — “Niech żyje Polska!”

Nowa salwa kartaczy, wiara się chwilowo miesza i chwieje, Jabłkowski krzyczy: “W imię Boga naprzód!”

W momencie spostrzega Szmerski o dwadzieścia kroków przed sobą zabitego pruskiego dobosza, a przy nim bębem lepszy niż jego i fartuch z cielęcej skóry, którego one nie miał. Rzuca swój i nie zważając na grad kul karabinowych krzyżowego ognia, jak szalony pędzi, odpina poległemu fartuch, przypina na siebie, zawiesza bęben i nie ustępując kroku wstecz, bije pałkami co siły do ataku.

Wierzajcie, że takie bohaterstwo zagrzewa. Jabłkowski już przy dzielnym doboszu, a wiara “Niech żyje Szmerski!” — pędzi z kosami na sztorc.

Na lewo z domów wypada Konrad ze swoimi strzelcami i tuż obok niego zabieliła się sukmanka Karola Brzozowskiego (poety). Z prawej strony podoficer Dolański młody chłopak (koroniarz), wylatuje również z domu ze swoją kupką, tuż obok porywa mię

za rękę Eugeniusz Trąbczyński,"’) oficer z r. 1880. Pędzimy co sił starczy pod mur cmentarza, wprost na wyłom.

Porucznik Konrad pierwszy z lewej strony, Dolański z prawej drogi, dostali się na mur.

Równocześnie wpadamy zmieszani strzelcy i kosynierzy do środka. Prusacy rzucają karabiny i uciekają drugą stroną na złamanie karku. Część jakaś broni się w dzwonnicy ale i stamtąd ucieka. Cięcia kos straszne, Boże zmiłuj się. Słyszysz jak wołają “biedacy w Pruskich mundurach!?’ “Bracia ja: katolik, ja Polak!”

W rogu cmentarza przyparli kosynierzy do muru kilkunastu piechurów i dwóch kapitanów Tickelmana i Knora, których z nas znało wielu osobiście bardzo dobrze. Kosynierstwo rąbią tę kupę, jak kapustę. Udało mi się jakoś dopaść jeszcze dosyć wczas z Polańskim i biorąc ich do niewoli ochronić od niechybnej śmierci, tern więcej, że Tickelman — Polak — był to człowiek wcale nie zły i łubiany, ale pomimo tego

---

*) Szwagier ś. p. Libelta Szumanów, znanej rodziny Wielkopolskiej, dobrze zasłużonej krajowi. Eugeniusz osiadły obywatel, od żony i kilkorga dzieci wstąpił do powstania.

już dostali po kilka cięć. Knorowi przeplatano nos i pół twarzy, musieliśmy ich bronić własnemi piersiami i oddać pod straż dwóch strzelców wraz z ciężko rannym adjutantem jenerała Bluma — Paukę.

Nie było już co robić na cmentarzu, wybiegamy drugą stroną, a tu młode chłopię w krakusce na głowie pędzi na czele kilkudziesięciu kosynierów z podniesioną kosą i pcha przed sobą przynajmniej pół batalionu piechoty pruskiej. Sadowski rąbie po grzbietach i łbach, piechury rzucają karabiny i tornistry, a tu nic nie pomaga, bo wiara jak rąbie tak rąbie. Wzdłuż rynku padają trupy, a każdy na twarz, pchają się w ulicę koło Bazaru. Ale tam wpadają z deszczu pod rynnę, bo Gabryelski z okien, którego Prusacy nie mogli wyprzeć, sprawia niemałe spustoszenie.

Sadowski był podoficerem w kosyniérach i gdy padł dzielny kapitan Maksymilian Ogrodowicz, on tak dziarsko jego miej sce zastąpił.

Cudów waleczności dokazywał ze swymi kosynierami Kujawiakami Jan Mittelstedt, który najwięcej przyczynił się do wzięcia miasta.

Była już godzina wtenczas piąta po południu, gdyśmy miasto zupełnie oczyścili i wypierając ze wszystkich pozycyi, najwięcej białą brocią i kolbami zamokłych dubeltówek, Prusaków ścigali ku Winnogórze.

Mierosławski był pewien, że Białoskórski wypełnił rozkaz i odciął Prusakom odwrót, ten jednak mszcząc się niby za skompromitowanie niektórej poplatającej szlachty przez Mierosławskiego w berlińskim procesie, — nietylko po raz drugi nie usłuchał, ale z najzimniejszą krwią wraz z kilkunastu innymi kunktatorami opuścił cały swój oddział pleszewski i odjechał spokojnie do domu.

Pułkownik Brzeżański dzielny żołnierz (dowódca jazdy poznańskiej w r. 31.) ale obałamucony przez legalistów waśniących go nieustannie z Mierosławskim, pomimo, że jego kawalerya nie była tak zmęczoną, aby pościg był niemożebny, wymyślał nadbiegającym adjutantom od Mierosławskiego z rozkazami od “osłów” nie znających się na koniach, nie poszedł w pogoń.

Gdyby nie ten haniebny postępek Białoskórskiego, rzeczywiście zdolnego i odważnego oficera jakim był, to z 5,700 ludzi

siły pruskiej, nie byłaby noga jedna uszła z pod Miłosławia. Nieszczęsne to kunktatorstwo zredukowało w ten sposób nasze krwawe zwycięstwo do znaczenia szczuplejszych rozmiarów, jak to być mogło. Nie wchodzę w to, czy rezultat tego powstania byłby odpowiedział naszym marzeniom, ale w każdym wypadku byłby inny aniżeli potem nastąpił.

Była to godzina 6 po południu, deszcz chociaż drobny, przenikający, nie przestawał przez cały dzień padać, niebo całe okryte było ciężkiemi chmurami. Prusacy sformowawszy się jakotako pod Winnogórą i na trakcie Wrzesińskim ku Kęblowu, z pośpiechem już rejterowali. Mierosławski schwyciwszy mały oddział kawaleryi naszej, już nie dla doścignięcia, bo to z powodu zbyt małej liczby było niemożebnem, ale aby nie spuścić z oka ruchów Bomsdorfa, puścił się ku Palczynowi, wysełając drugi rekonesans za Blumenem.

Byliśmy znużeni do najwyższego stopnia, przez dwie poprzednie noce spaliśmy bardzo mało, a oddziały nowomiejskie i pleszewskie wcale nic, dokonawszy forsownego marszu. Stojąc od godz. 4ej rano na

pozycyi, bez pożywienia, w boju i deszczu do wieczora, można sobie łatwo wyobrazić, że natura upomina się o swoje prawa. Wróciliśmy do miasta i teraz dopiero przedstawił nam się w całej grozie nikczemny barbaryzm pruski. Dopiero teraz mogliśmy się przyjrzeć, jak tu podczas boju pickelhauby gospodarowały. Gdy jedna połowa biła się z nami, druga w najohydniejszy sposób demolowała i popełniała gwałty. We wszystkich domach, wszystkie ruchomości były połamane, potrzaskane, podarte, poniszczone, a co się tylko kosztowniejszego dało unieść, skradziono.

Tak zwany bazar, w którym z plutonem strzelców zamknął się Gabryelski, jedyny był nietknięty i tylko zewnętrzne ściany były jak makiem obsypane bliznami od gradu kul. Kilka trupów naszej wiary, którzy ranni zostali podczas odwrotu pierwszego przez miasto, znaleźliśmy w najohydniejszy sposób już nietylko pomordowanych, ale literalnie pomęczonych. Leżał n. p. trup Strzelca z rozpłatanym brzuchem, któremu widocznie na pół rozebranemu z odzieży, wysnuwano kiszki żywcem, a w końcu wydarto serce i wnętrzności, które o kilka kroków były rzucone osobno.

Każdy nasz trup, znaleziony z pierwszej połowy boju tak był skłuty i zohydzony, że go nikt poznać nie mógł.

Do ilustracyi bohaterstwa pruskiego należy jeszcze jeden fakt. Hr. Seweryn Mielżyński, c którym wyżej wspominaliśmy, właściciel Miłosławia, od kilku dni miewał ciężką febrę i właśnie paroksyzm przypadł na dzień bitwy, wskutek czego zmuszony był pozostać w łóżku.

Gdy bój zawrzał i nie pozostawało już wątpliwości, że Prusacy zajmą pałac, pomimo prawie zupełnej nieprzytomności i gorączki, w jakiej się znajdował, stary sługa, który przy nim pozostał, zdołał go zaledwo ubrać w obuwie i szlafrok i wyprowadzić na folwark..

W tej chwili piechota zajęła pałac, a pułkownik kirasyerów pruskich hr. Ganzaube wpadł ze swoim szwadronem pomiędzy gumna. Spostrzegłszy chorego Mielżyńskiego w szlafroku, spina konia ostrogą i z rykiem: “Verfluchter polnischer Hund krepiren” zadaje mu własnoręcznie kilka cięć w głowę, dopóki Mielżyński nie padł.

Jeżeli więc śmietana pruskich bohaterów nie wahała się kalać w ten sposób ho-

noru wojskowego, to można sobie łatwo wyobrazić, czego się tak zachęcali szeregowcy.

Nikogo to nie zadziwi, gdy szczególniej nasze znękane i wygłodzone kosynierstwo, zastawszy w mieście po rabunku pruskim, porozbijane drzwi do szynków i zapasy z różnymi trunkami, a nawet beczułki powytaczane na ulicę, rzuciło się chciwie do pokrzepienia sił. Lecz jeszcze dosyć rychło zdołali także oficerowie powstrzymać ten wybryk, który się mógł bardzo smutnie zakończyć. Do zapobieżenia użyto głównie nas strzelców, którym nakazano, gdzie się nie dało jbsadzić składu silnemi wartami, rozbijać beczki i naczynia z trunkami.

Już od kilku dni snuły się po obozie miłosławskim głuche wieści, które doniesiono z Poznania, że rząd pruski wysłał do Miłosławia kilkunastu nader zręcznych agentów, którzy pod płaszczykiem patryotyzmu mieli szczególniej kosynierów podbechtywać, że Mierosławski i starszyzna ich zdradza.

Lecz na tę wieść, sformował się z pomiędzy strzelców oddział, złożony po największej części 7 Mohabitczyków (przez rewolucyę berlińską wypuszczonych więźniów

stanu), którzy rozwinąwszy największą czujność, uniemożebniali tę szpiegowską propagandę, zwracając szczególniej czujną baczność na niektóre indywidua, świeżo przybyłe do obozu.

Otóż taką chwilę po bitwie i wobec ogólnego rozdrażnienia, uważały te piekielne duchy za najwłaściwszą, aby wywołać rzeź i przelew krwi bratniej.

Kapitan Lange, mając mnie pod ręką oddał pod komendę jako sierżantowi tymczasowo resztki plutonu po Kazimierzu Błociszewskim, a że i porucznik Klatt zjawił się z kilkunastu strzelcami, polecił nie ruszać się z rynku i zbierać cały oddział. Lange sam popędził na koniu z pułkownikiem Oborskim dalej dla skierowania w rynek rozrzuconych kupek, lub pojedyńczo błądzących strzelców.

Zaledwie odjechał od nas, porucznik Klatt spostrzegł przybywającego naszego trębacza, i kazał mu trąbić na apel. Na prost rynku w ulicy ku pałacowi, naprzeciw kościoła, był tylko jeden dom, którego Prusacy nie zrabowali, a to dla tego jedynie, że to była apteka, i do niej wprowadzili kilkunastu swoich rannych, mianowi-

cie oficerów. Już nie pamiętam z czyjego rozkazu zatknięto nad apteką chorągiew i postawiono u wnijścia dwóch strzelców na warcie, ponieważ tu po bitwie miała być chwilowo kwatera główna.

Porządkując naszych strzelców słyszymy jakiegoś draba, który wskazując kosynierom dom w rynku, gdzieśmy zaprowadzili trzech ciężko rannych oficerów pruskich, wziętych na cmentarzu pod kościołem, jak kapitanów Knorra i Tikelmana, a trzeciego porucznika od huzarów Pauke adjutanta Blumena, wzywa ich, aby na ten dom uderzyć, bo tam i w aptece panowie ukryli do niewoli wziętych jenerałów i starszyznę pruską, aby ich w nocy potajemnie wypuścić.

Kosynierstwo jak rozwścieklone, uwierzywszy tej baśni, w jednej części rzuca się ku wskazanemr domowi, a w drugiej z innym drabem w ułańskim mundurze, którego nikt nie znał, zbierając się w większą kupę, posuwa się ku aptece.

Józef Klatt, któremu było poręczniej, porywa kilkunastu strzelców zdąża pod zagrożony dom, uprzedzając kosynierów, a mnie

nakazuje przedrzeć się z resztą dla zabezpieczenia apteki.

Mając coś około 30 strzelców pod ręką, podążam biegiem na czele, a po drodze znowu chwytam z kilku ludźmi porucznika Stanisława Niesiołowskiego. Zaledwieśmy przybyli na miejsce, i zasłaniając główną kwaterę wyciągniętym frontem i mogli wydać strzelcom rozkaz, aby rairię przy ramieniu stojąc nie dali się przełamać, a pomimo tego bez komendy nikt się nie odważył dać ognia, nadciąga kupa kosynierów, złożona przynajmniej ze 150 ludzi, z przebranym ułanem na przodzie, krzyczącym: “Śmierć zdrajcom, śmierć panom!”

Była to straszna i groźna chwila, bo groziła wycięciem w pień całemu inteligentniejszemu obozowi. Rozmawiając później o tern z Niesiołowskim, przyznaliśmy się nawzajem, że tak on jak ja byliśmy pewni rozsiekania wraz z naszą komendą przez kosynierów.

Szło głównie o to, aby tej roznamiętnionej tłuszczy nie dopuścić za blisko. Ja stałem na lewem skrzydle, Niesiołowski na prawem, który nie tracąc czasu, gdy tłum był jeszcze na kroków 30, zakomenderował:

“W ramię broń!” - “Ten!” Tuj!” —“Cel!”
— Na ten widok tłum się zatrzymał i woła:

— “A co to strzelcy wy nie z nami!?
— Co to i wy byście nas chcieli zdradzić, zamiast z nami mordować zdrajców!’’ Niesiołowski:

— “To wy chyba sami zdrajcy! Ktokolwiek się zbliży, dostanie kulą w łeb!”

Ułan zaczął ich zachęcać, aby na nas uderzyli, lecz szereg luf, wymierzonych wprost w piersi, nie bardzo był zachęcający. Gdy jednak nowe masy z tyłu się zgromadziły, pchały tych, co stali na przodzie ku nam, i kosy zaczęto podnosić w górę.

Nie zważano na uwagi, że w aptece są tylko ranni, a tych należy szanować. Jeszcze jedna chwila dłużej, a jużby nam nic innego nie pozostało, jak aby dać ognia do obałamuconych.

Mierosławski, który wracał ze sztabem od Pałczyna, został o grożącym niebezpieczeństwie uwiadomiony, lecz masy były tak ściśnięte, a zresztą przedzieranie się przez takowe byłoby szaleństwem, iż mu nic nie pozostało, jak dostać się tylną uliczką do apteki. Do wnijścia prowadziło kilka schodów od ulicy, otóż w najkrytyczniejszej

chwili zjawia się we drzwiach za nami, a raczej nad nami, wzywając gromkim głosem kosynierów do uciszenia się, czego chcą.

Tłum na minutę przycichł z przodu, lecz z tyłu słychać. "Zdrajcy, wy chowacie Prusaków, musicie z nimi zginąć." Równocześnie pcha się przebrany za ułana; rota strzelców w tem przekonaniu, że chce sam z Mierosławskim mówić, przepuszcza go, lecz zaledwo stanął jedną nogą na pierwszym schodku, chwyta Mierosławskiego za połę od munduru i chce go ściągnąć pomiędzy podniesione kosy. Tu już nie było się czego namyślać, bo jeszcze jedna sekunda, a rozpocznie się straszne morderstwo. Mierosławski opierając się całą siłą, i ująwszy lewą ręką drzwi ujmuje w prawą pistolet, który miał za pasem i pali w sam łeb napastnikowi.

Czyn ten wywarł pewne wrażenie na tłumie, który się kilka kroków cofnął. Mierosławski nie tracąc przytomności, zdejmuje z głowy czapkę, podnosi w ręku w górę i gromkim potężnym głosem wcła:

"W imię Boga i Ojczyzny!''

W krótkich i porywających słowach przedstawia zdradę Prusaków, którzy ha-

niebnie pobici, nie mogąc inaczej zwyciężyć, chcą zapomocą szpiegów naród zhańbić i popchnąć go do wzajemnego morderstwa.

Siła wymowy była tak wielka, i tak przekonywająca, że już w połowie kosy spuszczono na dół, głowy się odkryły, i jednym olbrzymim głosem wykrzyknięto razem z Mierosławskim: “Bóg i ojczyzna!” “Niech żyje Polska!” Zaraz potem sprawdzono, że mniemany ułan nie był żołnierzem obozowym i nikt go też nie znał. Kosynierstwo porwawszy zdrajcę za nogi, który już nie żył, rzuciło go do błotnistego rowu, a potem wywleczono trupa za miasto.

Tak się skończyła ta okropna chwila i jedynie Mierosławskiemu można zawdzięczyć, że powstrzymaną została rzeź, która pytanie, na czemby się była skończyła.

Nieprzyjaciele Mierosławskiego w nieszlachetny sposób wyzyskiwali później ten wypadek, czyniąc mu największy zarzut z tego powodu, że strzelając do zdrajcy (a nawet i temu usiłowano zaprzeczyć, że był winowajcą) dopuścił się Mierosławski morderstwa, i że powinien był w ostatecznym razie oddać przestępcę pod sąd wojenny.

Każdy jednak kto na wypadek ten patrzał z bliska, był zupełnie innego zdania i wiedział przedewszystkiem o tem, że tylko taka szybka decyzya i przytomność umysłu zapobiegła katastrofie. Kto się tylko mógł ze strzelców utrzymać jeszcze na nogach, ten czuwał nad możebnym porządkiem w mieście. Ja, Niesiołowski i Klat byliśmy z kilkudziesięciu strzelcami w pogotowiu, zajmując dom na odwach tuż obok apteki. Już się dobrze ściemniało, gdy przyszedł do nas p. pułkownik Oborski, zawsze spokojny, poważny, jakby nic nie zaszło, ubrany w swój płaszczyk i cylinder na głowie. Spostrzegłszy mnie, zażądał, abym się z nim udał do pałacu, który o kilkaset kroków był odległy. Dostałem na tę wyprawę od kolegi paczkę zapałek, albowiem o świecy ani marzyć było w tej chwili. Przeszedłszy bramę parku potrzeba było iść ostrożnie, aby nie deptać po leżących trupach. Przed głównemi schodami walało się mnóstwo papierów, książek, obrazów i innych przedmiotów. Ukręciliśmy z Oborskim kilka papierowych pochodni i zapaliwszy jedną, postępowałem przednim. Wrażenia, jakie ta wycieczka na mnie sprawiła,

nie zapomnę do końca żywota. Oborski chciał się przekonać, czy w pokoju na piętrze, który zajmował, nie pozostało przypadkowo jego zawiniątko, w którem miał ważne papiery, schowane tamże w jakiejś szafie. Proszę sobie wystawić, że to już była noc. Przez powybijane okna i drzwi, a na okół najstraszniejsze zniszczenie, strugi skrzepłej krwi, trupy poległych i pomordowanych z powydłubywanemi oczami a na domiar z dwóch stron słychać jeszcze było harczenie konającego i jeszcze dalej przytłumione jęki. Ja czułem, że mnie dreszcz śmiertelny po całem ciele przechodzi, włosy, jak to mówią dębem stały, obejrzałem się na Oborskiego, który kierował memi krokami.

Ten wytrawny i doświadczony wojownik zmarszczył tylko brwi, spojrzał na około siebie, zapalił drugą pochodnię, którą trzymał w ręku, ale nie mogąc już panować nad sobą, zadrżał i wstrząsł się jak we febrze wymawiając: “Tu strasznie, tu okropnie!”

Mimo tego szliśmy kręconemi schodami w górę, drzwi do pokoju pułkownika były wywalone, na podłodze walał się trup

pruskiego żołnierza, typ tradycyjny rudego Teutona. Leżał na wznak skurczony i ręce podniesione konwulsyjnie, a na załamanem łóżku, jak na późniejszem arcydziele Grottgera, spoczywał męczennik za świętą sprawę wolności, okryty licznemi bliznami a w zaciśniętej dłoni, która w górę sterczała opierając się o ścianę, trzymał szmat munduru pruskiego. Ja prawie skamieniałem na ten widok, któremu grozę dodawało światło pochodni. Wdepnąłem w strugę skrzepłej krwi, i poślizgnąwszy się, o mało nie upadłem na trupa.

Pułkownik nie miał co szukać swego zawiniątka, bo drzwi od szafy były kolbami wybite, a wewnątrz próżnia po rabunku. “Pódźmy ztąd.”

Piersi tak mi ściskało, i oczy tak jakoś dziwnie błądziły, że już nie wiem jak zeszedłem ze schodów, a za mną pułkownik. Gdyśmy wyszli przed pałac, ujął mnie dzielny starzec konwulsyjnie za rękę, i ścikając takową z nadzwyczajną siłą, rzekł:

— Słuchaj! — widziałeś — jesteś młody — pamiętaj, że powinnością każdego Polaka i jedyną cnotą jest zemsta nieprze-

błagana za te straszne mordy i niewinnie przelaną krew.”

“Ja może nie doczekam, ale ty zapewne jeszcze tego dożyjesz, że Bóg sprawiedliwy strasznie tQ zbrodnię ukaże, a pychę ich zetrze na proch. Niechaj, póki żyć będziesz, obraz ten, który cię tak przeraził, nie zatrze się w twojej pamięci. Jeżeli jesteś prawdziwym Polakiem i kochasz Ojczyznę, to pamiętaj, że przekleństwo tym, coby kiedyś chcieli sojuszu z wrogami?’

Trzydzieści lat minęło od tego czasu, dzielny pułkownik, jak bohater na wyłomie, zakończył tułaczy żywot na wygnaniu. Ideał Wojownika umarł w Londynie, żyjąc do śmierci z wyrobu pantofli.

Była to jedna z najpiękniejszych i najszlachetniejszych postaci z zastępów listopadowych.

Trzydzieści lat minęło, a obraz mordów, które opisałem, nie stracił nic na barwach w mej pamięci i Bóg wszechmocny dopomoże, że do ostatniej chwili żywota nie straci.

Ranek po bitwie dnia pierwszego maja był przecudowny. Słońce świeciło, a na niebie nie było ani jednej chmurki. Ze wschodem słońca zatrąbiono pobudkę, a ja od-

komenderowany zostałem z plutonem strzelców do kościoła.

Na skromnym katafalku, bo nie okrytym całunem, spoczywała drewniana trumna, a u wezgłowia jej leżało kilka kos krwawych, pałaszy i dwie strzelby na krzyż z połamanemi łożami. Wezgłowie trumny ubrano w również skrwawioną krakuskę, ot i całe trofea.

A u ołtarza Bożego najstarszy kapelan obozowy, 70-ci o kilkoletni ksiądz Kurowski, proboszcz z Witkowa, który jako syn wierny matce Polsce był poraź pierwszy kapelanem obozowym za Kościuszki pod Racławicami, Szczekocinami, Maciejowicami — odprawił mszę świętą za poległych. Chyliły się korne czoła wojowników. W kościele panowała cisza grobowa, słychać tylko było głos łkający modlącego się kapłana, a od czasu do czasu wyrywał się z piersi klęczących wojowników stłumiony jęk, który się wznosił pod stropy świątyni.

W bitwie miłosławskiej mieliśmy 42 zabitych i 154 rannych, które to straty nie mogą iść w porównanie z pruskiemi.

Na miejscu było zabitych Prusaków w pierwszej chwili przeszło 80 w środku

miasta, około 30 pomiędzy miastem a lasem, i 200 ciężko rannych, z których kilkudziesięciu zaraz zakończyło żywot. Zabrali Prusacy z sobą na zarekwirowanych fornalkach z okolicznych wsi 250 rannych do Środy i 12 wozów czterokonnych do Gniezna powiózł Bomstorf. Trupów z pierwszego peryodu bitwy od strony Winnogóry nie znaleźliśmy podczas rejterady Prusaków, ani jednego a przecież sami kirasyerzy, których siekańce i gwichty Węclewskiego na tamten świat wyprawiły, stanowili poważną paczkę. Jest pewnikiem, że Prusacy do ambulansów popakowali trupów i dopiero nocą takowe zostały wprowadzone do Środy, gdzie je natychmiast pochowano.

Z Mohabitczyków, o ile sobie jeszcze przypomnieć mogę, straciliśmy nieodżałowanych Smoleńskiego, Michała Tchórzewskiego, Maksymiliana Ogrodowicza.

Z emigracyi kapitana Koszkowskiego, Modzelewskiego.

Z młodzieży poznańskiej zginął bohaterską śmiercią Izydor Lutomski. Nie mogę przy końcu pominąć, że oprócz kliki Malczewskiego, w całym obozie miłosławskim mieliśmy tylko dwie dezercye chwilowe t. j.

jednego oficera od kosynierów i sierżanta od strzelców, lecz i w tych dwóch wypadkach więcej to trzeba było złożyć na karb słabego organizmu, aniżeli tchórzostw.

Piętnem sromoty pokryty tylko został jeden porucznik kawaleryi, który przedtem służył w huzarach pruskich i ten jedyny ciężko rnusiał pokutować wobec opinii i pogardy publicznej. Tak się zakończył bój pod Miłosławiem.

Dzień Igo maja, tj. następny po bitwie Miłosławskiej, był prawdziwie dniem majowym. Słońce świeciło, i cała natura była w rozkwicie ziemi. Pomimo nieustającej słoty dnia poprzedniego, huku i wrzawy bojowej, powrócił znowu spędzony skowronek i kołysząc się w powietrzu, kwilił swoją piosenkę i zdawało się, że płacząc, opowiada czyny poległych bohaterów wolności, których poszarpane ciała leżały jeszcze na pobojowisku.

Pomiędzy Miłosławiem a lasem od Bugaja i Kozubca, stał główny obóz. Czyszczono i porządkowano broń, dopasywano kulbaki i munsztuki na konie, zabrane po Prusakach. Tu znowu kosynier prostował i klepał młoteczkiem na maleńkiem kowa-

dełku kochankę swoją kosę, którą dnia poprzedniego stępił, lub wyszczerbił, obcinając bagnety pruskich piechurów, albo płatając łby nakryte pickelhaubami.

Bosa wiara kosynierska przywdziewała buty po poległych, lub gotując w kotłach pożywienie, jak liczne grono myśliwych podczas odpoczynku, opowiadał jeden drugiemu przygody i wrażenia, jakich doznał w boju.

Co chwila przybywali do obozu ojcowie, żony, matki lub siostry, aby się przekonać, czy ukochany obrońca ojczyzny, znajduje się pomiędzy żywymi, nie został ranny, lub też nie poległ w boju.

Pamiętamy jakby dzisiaj starą wieśniaczkę, liczącą z góry lat 70, zamieszkałą o dwie mile od Miłosławia. Przybyła ona już z rana, aby odszukać syna i wnuka, którzy razem wyszli z kosami z chaty, aby bronić ojczyzny. Z dziwnem przeczuciem w sercu, z rozpalonem okiem przeglądała kosynierskie kupki, pytając drgającemi wargami o ukochanych, nikt nie umiał dać zadawalniającej odpowiedzi, bo nie wiedziano, czy polegli, lub wysłani na posterunki i rekonesanse. Ale przeczucie matki kiero-

wane jakimś dziwnym instynktem, zwróciło jej kroki w lewo od obozu, w stronę olszynki parkowej, którą kosynierzy przemocą odwagi odbierali Prusakom. Nie dochodząc do tejże, na kilkadziesiąt kroków leżał jeszcze niepochowany z dziesiątek trupów w białych płótniankach, a każdy z nich nie po jednej, ale po kilka kul miał w piersiach. O! — bo w tern miejscu, pomimo deszczu chłodzącego było bardzo gorąco podczas boju.

Staruszka nieomal w młodzieńczych podskokach odmawiając modlitwy na pół śpiewnie, za poległych, biegała od trupa do trupa — lecz żaden nie należał do jej ukochanych. Już miała wracać, gdy w tem słyszy głosy w środku olszynki. Biegnie tam i widzi że towarzysze mają podjąć jeszcze dwóch poległych, aby ich zanieść pod kościół do wspólnej mogiły. Staruszce zapukało silniej serce, dobiega, wydaje okrzyk żałości i rzuca się, aby ująć w uścisk macierzyński ciało syna jedynaka, z którego piersi wysączyła się już ostatnia kropla krwi.

— O mój gołąbku jedyny, o synu ukochany, to nie ty matkę ale matka ciebie

chować będzie, o mordercy, przekleństwo wam!'' Klęka, siada i bierze głowę syna na łono. Oniemiała — reszta słów nie może się wydobyć ze zbolałej piersi, a więc porządkuje i układa długie włosy jedynaka.

O kilka kroków podnosi tymczasem dwóch wiarusów i innego kosyniera, a jeden mówi: “Patrzta kmotrze, to ten młody co z ojcem przyszedł z Wrześni, a zawsze obok siebie stali.”

Staruszka pomimo żalu i zanoszenia się, usłyszała te słowa. Zrywa się podbiega, wydaje jakby śmiertelny krzyk, i pada na ciało wnuka, który poległ w boju przy boku ojca. A ciała ich spoczywały najdalej wysunięte od towarzyszy i tak blisko obok siebie, iż nie ulegało wątpliwości, że oni pierwsi torowali drogę i wbijali się kosą w pruskie żołdactwo.

Scenę tę w kilka godzin później, opowiadał nam oficer i kilku wiarusów, którzy byli odkomenderowani do zbierania poległych, a działo się to nad otwartą mogiłą na cmentarzu przy kościele wśród miasta.

Obok licznych trupów, po większej części obnażonych, leżały dwa osobno o kilka kroków, a pomiędzy nimi na wpół klęcząc sie-

działa staruszka z rozwianym siwym włosem. Jej jedyne pociechy, syn i wnuk byli obmyci z zakrzepłej krwi i ze splecionemi dłoniami na krzyż spoczywali na zielonych gałązkach, które im mateńka zaścielała, a w palcach trzymali kapelusze. Staruszka nie jęczała już, ani zawodziła głośno, ale nieustannie oglądając się na prawo i na lewo, głaskała czoła i równała włosy. Źrenice wprawdzie były jakby krwią nabiegłe u niej, ale już suche.

Zbliżyło nas się kilku, coś czterech czy pięciu, a byliśmy wszyscy młodzi. Staruszka podniosła wzrok na nas, popatrzała i z pewną dumą roztwierając ręce, które wskazywały na poległych, przemówiła zakrzepłym głosem:

“Patrzcie dzieciuchy, to moi obydwa — syn i wnuk. Oni mieli mi być podporą na starość, a były to kochane i poczciwe dzieci. Ale Bóg tak chciał — oni przelali krew za wiarę świętą i Polskę naszą ukochaną — to chociaż grzeszni przyjął ich Ojciec wszechmocny na swoje łono. Smutne będzie moje życie, ale ja nie narzekam, bo ich krew popłynęła za Polskę. Ale to taki już nasz ród bo i nieboszczyk mój służył pod Napoleo-

nem i był w Warszawie, a rodzice ś. p. służyli pod Kościuszką.

“Niech was Bóg błogosławi dzieciuchy, — kochajcie Polskę, a bijcie i mścijcie się za nasze krzywdy!’[7]

Z dziwną pokorą staliśmy przed tą matką bohaterskiego rodu. Gdy nam błogosławiła, żegnając, ręce mimowoli sięgnęły dla odkrycia głów. Usłyszeliśmy za sobą głębokie westchnienie. Odwracając się spostrzegam, że stoi tuż za nami pułkownik Ludwik Oborski i Krąkowski major, żołnierz jeszcze z czasów Kościuszkowskich; starcy oparli się na szablach i tak jak my mieli odkryte głowy, a po ich wywiędłych licach spadała na siwe wąsy łza. — Zbliżyli się do staruszki, a Oborski odezwał się:

“Matko! pobłogosław i nam, aby Bóg wszechmocny dozwolił zginąć taką piękną śmiercią, jak ta twoja krew.”

Staruszka powstała, jakby kapłanka jaka podniosła ręce w górę, modliła się, a potem uczyniła znak krzyża świętego, który starcy przyjęli z pochyJonemi głowami.

Przytoczyłem ten obraz nie z fantazyi, ani też dla nadania opisowi memu romantycznego kolorytu, bo jest prawdziwy i nie’

chaj posłuży za świadectwo, że taka wielka miłość ojczyzny pomiędzy ludem wielkopolskim nie tylko wtenczas się praktykowała, ale po dziś dzień znaleść ją można, ukrytą w skarbnicach serc wieśniaczych.

To były widome obrazki obozowe, jakie się spostrzegać dały. Do niewidomych należała tajna agitacya reakcyi, która usiłowała wszelkiemi sposobami, aby komendanci rozprysnęli się, z obozu wyprowadzając oddziały.

Tu jednak mohabitczycy i emigracya czuwała pilnie, a gdy lisia chytrość poczuła swąd prochu i posłyszała brzęk kosy, powynosiła się ta hołota z obozu i zaledwie kilku pod firmą adjutantów schowało się do sztabu Brzeżańskiego, który jakkolwiek znakomitej odwagi żołnierz, to po zatem nie miał daru najmniejszej kombinacyi co czynić i mimowoli dozwolił się doktrynewm poznańskim prowadzić. Z tym z innej strony jako Polak zacnym starcem odgrywała reakcya haniebną komedyę, podburzając jego ambicyę i przedstawiając jako jedyne zbawienie Wielkopolski i wielkiej polityki, oddanie się na łaskę i niełaskę Prusakom,

Niestety postępowanie takie sprowadzało nam i dotychczas sprowadza najsmutniejsze klęski, bo czyni nas grabarzami własnej doli. Targowica odradza się nieustannie pod rozmaitemi postaciami, walcząc środkami, jakie duch czasu z sobą przynosi, ale że duch ten nie ma nic Bożego w sobie, a tylko frymarka piekielna jest jego majestatem, to też nie dziw, że dzieje nasze piszemy krwią bezskutecznie wylaną, a pochód zaznaczamy mogiłami męczenników. Biada narodowi, który nie ma tyle odwagi, jeżeli dla skutecznego przykładu nie może się odważyć na wycięcie tego raka z korzeniem.

Tu i owdzie tylko przyjęła się gangrena obozowa, ale lud, stał wierny przy chorągwi.

W obec pewności, że szpiedzy mogą się z łatwością skomunikować z Blumenem i Bomsdorfem, którzy mając możebność odwetu, mogliby znienacka napaść powtórnie, zebrał Mierosławski na ochotnika trzy oddziały strzelców konnych i wysunął je za Winnogórę, naprzeciw Blumerowi i do Kębłowa, po za który cofnął się, Bomsdorf, a nareszcze nad Wartę, dla obserwacyi Brandta.

Mierosławskiego zamiarem było, aby Blumena odepchnąć ku Środzie i tak samo Bomsdorfa ku Wrześni, a potem uderzyć przy przeprawie przez Wartę na Brandta. Ale cóż kiedy Brandt, który się już w części pod Nowem Miastem przeprawił, jak się tylko dowiedział o niefortunnej porażce Blumena, zmykał, jakby mu już kto siedział na karku na drugi brzeg Warty, zkąd przyszedł.

Nie możemy tu pominąć, że gdy obóz nowomiejski i pleszewski się przeprawiły, żaden z pp. dowódzców nie miał tyle roztropności, aby poodcinać promy i puścić z wodą. To też gdy Brandt przybył nad Wartę, zastając wszystko w pogotowiu, byłby się tak szybko przeprawił, żeby mógł tuż przybyć za Białoskórskim. A coby się było wtenczas stało, to nie trudno odgadnąć.

Klęsce tej jednak zapobiegł jeden człowiek młody, a był nim inżynier obozowy Szubert, który wysłany w bok z jakiemiś rozkazami, powracając, własną ręką poprzecinał liny od promów i puścił je z wodą ku Szremowi. Szubert dążył konno za Śladami obozu ku Miłosławiu, a usłyszą-

wszy huk armat, pospieszał, że koń dobiegając do placu boju padł nieżywy, a dzielny Szubert dopadłszy innego, wszył się jak wicher w odmęt bitwy.

Wiadomość ta była bardzo Mierosławskiemu na rękę, bo nastręczała jedyną możebność wysunięcia się z matni, przebić się przez jakie skrzydło dywizyi Wedla i Hirschfelda ku północnej części księztwa Poznańskiego.

Wszystko zapowiadało, że zamiar zostanie jak najlepszym skutkiem uwieńczony, albowiem doniesiono Mierosławskiemu w południe dnia 1-go maja, że Bomsdorf, który się po bitwie iniłosławskiej oparł dopiero we Wrześni, nie będąc pewien pomocy Wedla, postanowił nocą umknąć przez wieś Zborki i przez Bardę do Blumena, który się wylizywał w Środzie.

Wykonując ten plan jedynie z żołnierską akuratnością, mógł być Bomsdorf wzięty, jak to mówią bez strzału. Dzielny Stanisław Poniński, jako szef sztabu przy Mierosławskim, rozpisał natychmiast jak najtreściwsze rozkazy i rozesłał komendantom, dla wręczenia. Ale niestety odszukać tych panów nie było tak łatwo. Komendantem

obozu nowomiejskiego po Garczyńskim mianowany został Berlic a po Białoskim w obozie pleszewskim pułkownik Kuszel.

O godzinie 5 z południu stanęły oddziały, tak zwane miłosławskie z Oborskim na czele za miastem na drodze ku Wrześni w największym porządku nawet bez sygnałów zbornych. W obozach wymienionych przedtem paktowanie odbywało się dalej przez reakcyę, że nawet Kuszel i Berlic dali się złym duchem opanować. Była już godzina 7 wieczorem, ściemniało się nareszcie, a obozy nowomiejski i pleszewski nie przybywały. Stary Brzeżański, tak samo podbechtany, szemrał i gderał, ale pomimo tego aby go nie posądzono o tchórzostwo, stał na miejscu. Nakoniec o godz. 8-mej wieczorem, po użyciu skutecznego nacisku i zagrożenia, przez kilku mohabitczyków i emigrantów, obozy się połączyły. Mierosławski jednak, postępując oględnie, przydał do każdego batalionu najdzielniejszych weteranów i komendantów, jak Jabłkowski Ludwik, Emil Bednarczyk; z emigracyi Słubicki i Mittelszt et Jan, bożyszcze kosynierów.

Ruszyliśmy we dwóch kolumnach, aby zabrawszy bezwarunkowo Bomsdorfa, uderzyć niespodzianie na rozprószoną dywizyę Wedla. Od udania się tego planu zależało podniesienie sił naszych, co najmniej do 200,00, a z taką gromadką po kilkakrotnem daniu cięgów Prusakom można już było inaczej z nimi gadać, w ostatecznym zaś razie wtargnąć nawet do Kongresówki, gdzie lud byłby powstał wtenczas jak jeden mąż mianowicie, gdyby mu w tysiącach były zajaśniały wielkopolskich chłopów sukmany, a kosy swym brzękiem podrażniły ucho i zaiskrzyły oko.

Poprzednio już Słomczewski mohabitczyk i kilku innych udali się do północnych powiatów księstwa, aby tam przygotować ogólne powstanie. Gdy nasza kolumna przybyła do Zberek, dowiedziała się, co już łatwo można było przewidzieć, że Bomsdorf na dwie godziny przedtem przemknął się tamtędy w największym pospiechu ku Środzie. Była to wieść nie mała bo 1.000 przynajmniej karabinów, dwa szwadrony jazdy i dwa działa wraz z amunicyą byłyby nielada nabytkiem dla nas.

Teraz przynajmniej pozostała ta myśl pocieszająca, że dopadniemy Wrześni niestrzeżeni, zaczem pójdzie niespodziane uderzenie na skrzydło Wedla lub Hoszfelda.

Dobiegliśmy tak jednym tchem aż na 100 kroków od zagajnika. Mój pluton tworzył prawe skrzydło. Nie wiem już, jak się to stało, ale mimowoli bez komendy, zatrzymała się cała linia tyralierska. Podjeżdża Lange na prawe skrzydło i już tylko szablą wskazuje, aby jak najspieszniej zanurzyć się w zagajnik i przechodzi jeszcze raz cicha komenda: "Pięć kroków odstępu naprzód marsz!"

Tak jak to myśliwi zwykli czynić, jeżeli się podkradają na kaczki lub innego zwierza, podkradliśmy się niemal na palcach z odwiedzionymi kurkami.

Zagajnik był wąski, bo zaledwie przeszliśmy kilkadziesiąt kroków a tu już otwiera się przed nami pole, a od moczar, wzdłuż rowu równoległego, z tamtej strony od zagajnika, rozrzucone pół batalionu fizylerów pruskiej piechoty, wprawia się tak samo w ruch, aby cichaczem zająć pozycyę, którąśmy już opanowali.

Nie byli od nas, jak na 120 kroków na golem polu i widocznie nie spodziewali się naszej tamże obecności. Nasz trębacz Keller zaledwie zdążył wytrąbić pierwszy takt sygnału “ra-ta-ta!? na który Prusacy jakby skamienieli stanęli, myśmy ich na całej linii tak skutecznym ogniem przywitali, że zaraz kilkunastu zadarło nogi do góry.

Na komendę “Feuer!” zaledwie kilkanaście padło z ich strony strzałów, a reszta zmykała ile sił starczyło ku moczarom, gdzie schroniwszy się do głębokiego rowu zaledwie im końce pickelhaubów widać było z po za nasypów.

Była to zawsze przestrzeń z górą 200 kroków, a więc dla naszej broni po większej części myśliwskiej nie odpowiednia. Lange przeglądając każdą rotę tyralierską, zabrania strzelać, tylko tym, którzy mają sztucery: i to wtenczas, jeżeli się Prusak z po za rowu wysunie.

Zato z ich strony rospoczyna się straszna rotowa trzaskanina do nas, ale żeśmy byli ukryci i pokładli się na brzuchach, niewiele nam te strzały szkodziły, pomimo że kulki nadzwyczaj gęsto latały.

Nareszcze Prusacy po kwadransowym nieustającym grzmocie, bez odpowiedzi z naszej strony byli może w przekonaniu, żeśmy zrejterowali.

Odzywają się z ich strony bębny, bijąc do ataku na bagnety. Ale już nie pół, ale cały batalion piechoty dąży ku nam wrzeszcząc nieustannie “Hurra”- “Vorwaertz”.

Dzięki dobitnym rozkazom kapitana, przypuściliśmy ich znowu na 120 kroków, poczein takie dostali powitanie, że z porządną stratą umknęli do rowu.

Takich ataków od godziny wpół do 4 do wpół do 5 było aż 4, lecz już na kwadrans przedtem ustawiono dwa działa i jeden granatnik w bok od Sokołowa, a skośnie do naszego skrzydła i to nie dalej, jak na dobry strzał kartaczowy.

Puszczono do nas rdzennym strzałem wzdłuż brzózek kilka kul pełnych sześciofuntowych, które jakby geometra powycinały dukciki. Lecz gdy i to nas nie spłoszyło, zaimprowizowali nam coś, skuteczniejszego, a była to pierwsza produkcya “szrapnelowa”. Pod Miłosławiem poznaliśmy się już z iglicówkami, z granatami, ale o “szrapnelach” nawet starsi oficerowie, wyjadacze

bojowi nic nie słyszeli. To też wiara opowiadała sobie po bitwie przy obozowym ognisku pod Gulczewem, że stary wachmistrz Kapełczyński, warując jak stary wyżeł na szarym krańcu z gwintówką w ręku i wymyślając na gorące strzały od “smarkaczów”, “osłów”, gdy niedaleko niego padł granat, a młody kolega szturchając go w bok pokazał go palcem, to stary borsuk zawołał:

— No i cóż, wielgo mi rzecz, chcecie, to pójdę i fajkę zakurzę.

Lecz zaledwie wyrzekl te słowa, granat pęka i oprócz czerepów jak zwykle, rozlatuje jak stado wróbli w niskich promieniach mnóstwo drobnych pocisków, raniąc i ubijając kilku strzelców na miejscu.

Widok ten i skutek strapił niepoślednio starego wygę. Otworzył szeroko oczy i gębę, popatrzał na zniszczenie, a potem splunąwszy zawołał, żegnając się poprzednio:

— Tfu do djabła!

— A toć to niemieckiego djabła jakaś sztuka!

Był to pierwszy “szrapnel,” a za nim szły inne na przemian ze strzałami kartaczowemi, które w brzezinie, nie mającej

nad dwa cale średnicy najgrubsza, niepoślednie sprawiały spustoszenie.

Strzały wszystkie były skośne, a więc przecinały linię podłużną, zagajnika i proszę wierzyć, że ten nieustający eksperyment nietylko wywierał skutek, ale djablo był nieprzyjemny.

Mój biedny pluton, jako skrzydłowy najwięcej ucierpiał. Jeden z pierwszych strzałów powalił kilku dzielnych strzelców, a młodemu chłopcu, nie liczącemu jeszcze lat 18 urwał prawą rękę po nad dłonią. Był to owczarek z Kujaw Michałek Kluska, prześliczny bohaterski dzieciak, o niebieskiem oku i jasno blond włosach. Pod Miłosławiem był wszędzie pierwszy i nikt nie dostrzegał, aby na nim bój wywarł najmniejsze wrażenie.

Przez tę godzinę, jak trwał bój po dwa razy wyczołgiwał się na gołe pole z drugim towarzyszem Dutkiewiczem, jeszcze młodszym dzieciakiem, uczniem ze szkół w Czeresznie. Ten drugi liczył dopiero 15 rok, ale taka znowu sztuczka po szlachecku buńczuczna, że bębna w całym oddziale respektowano. Otóż będąc z Michałkiem w jednej rocie, wysunęli się przed linią nieo-

mai na połowę dystansu od Prusaków, po za bryłę granitu, który w tych okolicach znajduje się często na polach. Zmykali dopiero za każdym razem, gdy Prusacy próbowali szczęścia na bagnety. Po drugim takim eksperymencie, był właśnie na skrzydle zsiadłszy z konia pułkownik Oborski i wpadając w brzezinkę, Dutkiewicz wpadł prosto na niego. Pułkownik wziął go za ucho, pociągnął, i:

— Smarkaczu czego się wyrywasz.

— Panie pułkowniku! ja nie smarkacz, ale żołnierz polski, a za ucho nie wolno ciągnąć i dali Bóg, jak mamę kocham, gdyby to kto inny, tobym satysfakcyi zażądał !

Bardzo naturalnie, że taka odpowiedź staremu Oborskiemu bardzo się spodobała. Uścisnął szybko dzieciaka:

— Niech cię Bóg błogosławi! tak ty jesteś polskim żołnierzem.

Około godziny 5 przeleciał Mierosławski całą linię bojową; nie uprzedzajmy jednak faktów, a zajrzyjmy, co się stało za nami i na lewem skrzydle.

Otóż po naszem wyruszeniu z obozu w tyraliery ku zagajnikom, nasze serdeczne

kosynierstwo nader szybko stanęło do szeregu, w ozem zawsze przodował batalion poznański, a że to w nim było wielu landwerzystów, a zacząwszy od sierżanta, najzdolniejsi i z bojami obyci ludzie; to też dzielność żołnierza (chociaż w połowie złożona z osobistości, które we Lwowie nazywają “batiarami”) była takiej siły i animuszu, że poprowadź ją nawet w serce piekła, a przewierci takowe.

A co tu dopiero było mówić, gdy na czele tego batalionu stał taki “czwartak,” ukochany i czczony przez lud poznański, jak już teraz śp. Ludwik Jabłkowski, pułkownik, albo gdy dzierżył sztandar z białym orłem i pogonią prawdziwie wspaniały, mężkiej postaci <po dziś dzień żyjący w Poznaniu, a dotychczas z kulą w piersiach) Nepomucen Seifried.' Trzydzieści lat minęło — a jednak gdy uczestnik boju pod Sokołowem przedstawi sobie tę chwilę w wyobraźni pamięci, nie może inaczej, jak z dumą i rozrzewnieniem wyrzec, że to byli Leonidasi kosynierstwa polskiego. Nie możemy tu pominąć humoreski, dotyczącej kosynierskiej komendy, jaka najlepiej trafiała do pojęć lemieszowego rycerstwa, przybra-

nego w domorosłe białe płótnianki; bo gdy
za mało czasu było, aby wpoić regulamino-
wą komendę, co zresztą wobec obowią-
zków, jakie zastępy kosynierstwa miały do
spełnienia, byłoby niepotrzebnem marno-
waniem czasu, jenialny pod tym wzglę-
dem Mierosławski umiał skorzystać z obja-
wów obozowych, i wprowadził do regula-
minu kosynierskiego hasła, które kosynie-
rzy najprędzej pojmowali. I tak, zaapliko-
wano komendę, która się codziennie w obo-
zie po kilka razy powtarzała, gromadząc
ich (ustęp ten powtarzamy dosłownie z pa-
miętników Mierosławskiego) “czy to około
kotłów z kaszą, lub też w okresie pamię-
tnej ludowej manifestacyi: “do gadania,
formuj koło!” — poczem oba wieńce wy-
wrócił na zewnątrz dowódca komendą: “le-
wo w tył, zwrot!”.— A po trzeciej komen-
dzie: “brzuchy w tył, równaj się!” — Czte-
rej oficerowie narożni ugnietli w mgnieniu
oka dwa szczelne kwadraty, samym sobie
się dziwując.”

Tak stanęły trzy falangi po 550 chłopa.
Jabłkowski podwojonym krokiem posuwał
się szybko traktem gnieźnieńskim ku środ-
kowi Sokołowa, a *2* następne bataliony,

pleszewski pod komendą Bednarczyka, a nowomiejski z Mittelsteatem dążyły na centrum i prawe skrzydło. Po lewej stronie gnieźnieńskiego traktu rozwinął się szwadron kawaleryi majora Kirkora, a na drodze czyli na prawem skrzydle, prowadzącej do Ostrowi, zajął pozycye szwadron Brzeżańskiego z plutonem Słupskiego w obwodzie.

Siła nasza wynosiła 300 koni kawaleryi, około 500 strzelców, 3 pukawki Wq-clewskiego, a reszta kosynierów, razem około 2,500 ludzi.

Po stronie pruskiej miał Hirschfeld 8 półbatalionów składających sie z pułków pomorskich, z których 21 pułk słynął z pruskiego 'bestyalstwa, rabunku i mordowania rannych i bezbronnych, a w pułku tym znowu nie wolno nam zapomnieć bez napiętnowania, oprócz jen. Hirschfelda, którego Niemcy sami w Holsztynie później nazywali “Bluthund,” nadporucznika Wityng-hofa, pochodzącego z dawnej rodziny polskiej, renegata a którego później używano podczas naszej niewoli w kazamatach jako oprawce znęcającego sie nad niewolnikami.

Kawalerya pruska składała sie z dwóch silnych szwadronów czerwonych huzarów,

szwadronu żółtych huzarów *Igo* pułku i szwadronu ułanów, 4ch dział sześciofuntowych, 2ch granatników, a nakoniec z kompanii strzelców pomorskich, stanowiła więcej jak jeszcze raz przeważną siłę od naszej, bo wynosiła do 6,000 ludzi.

Zaledwie po kwadransie, gdy strzelcy Langego parzyli awangardę Hirschfelda, wprowadził tenże główną siłę na pozycyę mającą znakomite zakrycie i podstawę długiej wsi Sokołowa. Brzozowe zagajniki oddały operacyom naszym niemałą przysługę, bo nietylko dozwoliły podsunąć się dwom batalionom kosynierów, ale okrywały tajemnicą rzeczywistą siłę i zmusiły Hirschfelda, jakto już wspomnieliśmy na początku, do utworzenia za zbyt ukośnego armatniego ognia, który wprawdzie bardzo dokuczał strzelcom, ale dwa bataliony kosynierów, bardzo mało od niego z początku ucierpiały.

Nasz kochany Węclesio podsunąwszy się nad krótki dystans, taką sprawił dywersyę siekanemi kartaczami, że przerzedził nietylko kanonierów, ale jeszcze skuteczniej czerwonych huzarów, stojących w asekuracyi, zmuszając baterye do wycofania się po

za doniosłość (jak kosynierzy zwykli byli mówić) “gadających pukawek.”

]STie tak łatwo szło batalionowi poznańskiemu, bo ten niczem nie zakryty, jak tylko piersią swego ukochanego pułkownika, postępował nieustraszenie naprzód pod zachętą dwóch bębnów (już pruskich), dzierżonych w rękach Wróblewskiego i Szrymskiego żydka.

Hirschfeld wiedział, że jeżeli ten batalion dostałby się do Sokołowa, a wsparty oddziałem naszych strzelców, mógł jego prawe skrzydło postawić w bardzo krytycznem położeniu, dlatego też wyłącznie jedno działo i granatnik z pośpiechem weń paliły.

Dzielna wiara nie powstrzymując się ani na chwilę, postępowała naprzód, pozostawiając za sobą krwawe ślady i poległych braci.

W sam środek kolumny wpada granat, zabija pięciu ludzi na miejscu, a podoficerowi Brykczyńskiemu (rzeźnikowi z Poznania) druzgocze czerp i obojczyk; — lecz i ten wypadek nie sprawia silniejszego wrażenia. Słychać tylko własnoustną komendę wiary: “szlusuj!” — Dobosze jeszcze

silniej walą do ataku “ram! ram!” i chorąży jeszcze wyżej podniósł sztandar wolności.

Batalion jakby żelaznemi ogniwami spojony, lub ulany z jednego ciała, posuwa się szybko naprzód, że go już dosięga rdzenny strzał kartaczowy, a z prawej flanki sztucerowe kule celnych strzelców.

W tym momencie słyszał Jabłkowski po za sobą jakby jeden głos przerażenia. Odwraca się i widzi, że bohaterski chorąży z bitwy pod Miłosławiem upadł w tył, a silny strumień krwi bryzga z lewej piersi powyżej serca. Ale dłonie ściskają i nie chcą wypuścić Polakowi świętego znaku.

Lecz natychmiast podbiega młode chłopię, bo zaledwie 17 lat liczące, Alonzo Seifried rodzony brat chorążego — chwyta za tę drogą sercu relikwię i jako sumienny spabkobierca podnosi ją wysoko, wołając: “naprzód!”

Kilku wiarusów odniosło do rowu bohaterskiego towarzysza i znowu biją w bębny dobosze, których odźwięk, jak najcudniejsza tryumfalna melodya pcha do dalszego ataku, w śmiertelny bój.

Hirschfeld widząc taką rezygnacyę, wycofuje swoje dwa działa po za wieś, ale za

to podwaja się morderczy ogień karabinowy, z poza osłony wiejskich budynków i okalających wieś nasypów ponad rowami. A gdy prawe skrzydło i centrum nie były w możności jeszcze poparcia tego żywego taranu, pułkownik Jabłkowski nie cofając się, wydał jedynie komendę, położenia się batalionowi na ziemię pod lekką osłoną wypukłych zagonów i przydrożnych płotów. Na 500 kroków odległości rzucano nań szrapnele, ale już bez skutku, bo dla kanonierów i tyralierów pruskich przedstawiały się tylko dwa nieruchome posągi na koniach, stojące na drodze, Oborski i Jabłkowski.

Kochany Węclesio wypluwszy resztki siekańców, gwichtów i wag od zegarów, mając już poprzednio jedną pukawkę zdemontowaną i po utracie kilku artylerzystów, po skontuzyonowaniu zucha i sokolego oka podoficera krawca Głowienkowskiego, (działka nasze obsługiwane były prawie wyłącznie przez krawców i szewców poznańskich, słynnych podczas całej kampanii z niedającego się pojąć humoru i figlów), zmuszony był wycofać się na bezpieczniejszą pozycyę.

Jazda Kirkora i Tarły udawała dotąd w jednoszeregcwym szyku wybornie znaczny i imponujący zastęp, zbliżyła się kłusem na opuszczoną przez nasze działa pozycyę. Na lewe skrzydło podsunął się tak samo Brzeżański.

Prusacy skoncentrowali prawie całe swe siły pod osłoną długiej wsi.

Z centrum naszego odzywają się bębny i kosynierskie kolumny z Bednarczykiem i Mittelstaetem wysuwają się z zagajnika, przywitane natychmiast morderczym krzyżowym ogniem dwóch dział, a od frontu trzaskiem karabinowym.

Był to moment, o którym mówiliśmy poprzednio, gdy Mierosławski przebiegając całą linię, wydał rozkaz do uderzenia na wieś do ataku. Batalion nowomiejski z Mittelstaetem porze się jak pługiem po nowinie drogą na prawem skrzydle, wiodącą do wsi, z której moment przedtem umyka z pod moczarów zaczajony w rowie batalion piechoty, wyparty przez strzelców Langego i Kuszla.

A strzelców prowadzi sam Lange i Eugeniusz Trąbczyński (oficer z 30 roku), obywatel ziemski, ojciec pięciorga dzieci, oże-

niony z Schumanówną, rodzoną siostrą śp. Libelta.

Szło głównie o to, aby posuwając się w gęstej tyralierce po moczarach, wywrzeć na Prusaków dywersyę i osłabiać ich ogień, wymierzony przeciw kosynierom.

Zaprawdę było nam ciepło — i bardzo ciepło, bo nasze strzelby tylko wyjątkowo sięgały przez moczary, po których brnęliśmy, zapadając po kolana, jak to się zdarza podczas polowania na kaczki lub bekasy; a trudno było coś więcej dojrzeć ponad świecące od słońca końce pikelhaubów. Strzelecka wiara jednak, rażona nie na żarty, posuwała się uparcie naprzód, chociaż nie tak szybko, jak po twardej drodze kosynierzy, którym jak bożek wojny przodował z podniesionym w górę pałaszem Jan Mittelstaet.

Tak samo prze się i Bednarczyk do środka.

Gdy kosynierzy już się wdarli w zabudowania gospodarcze i środek folwarku, pierwsze nasze roty tyralierskie mogły się zaledwo przedostać przez rowy i przeskoczyć płoty, z poza których prusacy tyralierzy zmuszeni byli umknąć. Ale w tej chwili

rozwijają, się dwa półbataliony piechoty, biorą z dwóch boków w klamrę bohaterskich kosynierów. Utrzymanie się na miejscu bez narażenia na zupełną zagładę, było niemożebnem. Mittelstaet widząc to, wycofuje co może, ale kilkudziesięciu zuchów, którym się udało najgłębiej w tę matnię dostać z porucznikami Piusem Arnoldem i Kaczorowskim, oraz kilkunastu rotami strzelców, zostają bez ratunku odcięci, a nie chcąc się poddać, chronią się do stodoły dworskiej z prawdziwą rezygnacyą, godną takich bohaterów.

I nam strzelcom, dziesiątkowanym, nie pozostało nic innego, jak tylko co najspieszniej wycofać się przez moczary do rowu, zajmowanego poprzednio przez Prusaków.

W niefortunnej naszej rejteradzie zostało kilku zabitych i kilkunastu rannych, a zaledwieśmy się wycofali do rowu i usadowili, rozwinął się przed nami straszny dramat, godny bohaterstwa pruskiego. Bo gdy w stodole zamknięci nie chcieli się poddać, Prusacy naznosiwszy słomy, podpalili od razu ze wszystkich stron budynek. A gdy który z ognia wyskakiwał, brano go na bagnety i powtórnie wrzucano. W tej chwili

przypada do nas znowu Mierosławski i wskazując ręką na palące się budynki, woła:

“A co panowie strzelcy, czekacie na pieczyste, które Prusacy dla was przygotowują! — A będzie smaczne, bo to z waszych braci, których tam pieką” — popędził ku kosynierom.

Nie potrzebuje zdaje się mówić, że te kilka słów wystarczały, aby nam krew wystąpiła na lica i rozlega .się okrzyk, jakby z jednej piersi.

“Naprzód w imię boże, śmierć lub zwycięztwo!”

To samo hasło zagrzmiało z falangi kosynierów i poszło po całej linii bojowej, aż na koniec lewego skrzydła.

I cóż tu dalej mówić; nie upłynął kwadrans, a pomimo gęsto ścielącego się trupa i rannych, cały Sokołów był wzięty, a Prusactwo zeń wyparte.

To, co nie zdążyło uciec, zostało bez pardonu zrąbane. W stodole spalili Prusacy żywcem o ile się dało obliczyć, około 40 ludzi.

Kilkunastu kosynierów, którzy się z Piusem Arnoldem i Kaczorowskim naprzód zapędzili, uniknęli jedynie męczeństwa w pło-

mieniach. Połowa z tej garstki poległa trupem, a reszta okryta licznemi ranami.

Lecz nie my sami tylko dokonaliśmy tego szalonego ataku, bo na wieść bestyalizmu pruskiego, gdy Mierosławski dopadłszy ku lewemu skrzydle kosynierów, wołając do nich:

“Bracia wasi giną na stosie, a i polskiego Chrystusa pieką Niemcy na krzyżu!” — jakby niepowstrzymana lawina rzuciły się zastępy wprost przed siebie na moczary, a na czele ich kapelani Balcerowski i młody ksiądz Brzeziński..

Nie powstrzymuje tego zapędu morderczy ogień, bo w tej chwili każdy woli zginąć, aniżeli nie pomścić męczeństwa braci. Wśród krzyżowego kradu kul, wysunęła się na prawem skrzydle ciekawa postać, a był nią ks. bernardyn, który przybył z Kongresówki do obozu, o ile pomnę już po bitwie Miłosławskiej. Mógł liczyć około 30 lat, siedział na koniu w habicie z gołą głową, lewą ręką dzierżył cugle, a w prawej trzymał krzyż, mając na temblaku zawieszoną gołą szablę.

Koniem władał jak wytrawny jeździec i on to przyczynił się najwięcej, że zsiadł-

szy z konia tak umiał natchnąć środkowy zastęp kosynierski, ze go jednym tchem wprowadził do wsi.

W jakiemś podwórku pali do niego dwóch piechurów a chybiwszy obskakują go chcąc wziąć na bagnety, lecz nasz odrodzony ks. Robak niezwykłą siłą odbił pchnięcia i tak poczęstował po łbach napastników, że aż się pickelhauby poroztwierały wraz z czaszkami. Nikt nie znał nazwiska tego bernadyna i nie wiadomo, co się z nim później stało.

Lewe pruskie skrzydło zostało zupełnie złamane, a Mierosławski, który jakby podwajał swoją obecność, zjawia się znowu na tern lewem skrzydle i szczęśliwie wyprowadza od zachodu Sokołowa batalion Jabłkowskiego poza wieś na traktat gnieźnieński.

Dywersya ta, zagrażająca nietylko prawemu, skrzydłu pruskiemu, ale już i tyłom była dla Hirschfelda i Wedla prawdziwą niespodzianką, bo zdawało się tymże, że nowy zastęp został w bój wprowadzony.

Jabłkowski przy biciu w bębny do ataku i przy gromkiem “hurra!” kosynierów

zdąża wzdłuż Sokołowa ku prawemu skrzydłu.

Prusakom nie pozostało nic innego, jak w tej chwili cały ogień skierować na tę ruchomą redutą, ale na obydwóch narożnikach przedniej ściany postępują konno z podniesionemi w górę pałaszami nie tylko Jabłkowski, ale i Oborski. Grad kul zasypuje formalnie ten czworobok. Padają trupy i ranni, ale kosynierska wiara chwyta jeden drugiego za połę przeskakuje poległych i idzie naprzód.

Dwa szwadrony czerwonych huzarów, które dostały rozkaz wykonania szarży, zbijają się w niełądzie jak stado owiec w jednę kupę, spadają z koni i poplątani jakby w gordyjski węzeł, umykają. W tym momencie z lewego skrzydła wysuwa się nasza kawalerya, trąbka daje sygnał i szwadron miłosławski pod komendą Brzozowskiego co koń wyskoczy usiłuje napaść na tyły, aby tę hołotę rozbić do szczętu i stratować kopytami.

Buch ten odbywał się na zupełnej równinie, poprzerzynanej zaledwie tu i owdzie wąskiemi polnemi rowami, których jednak trudno było dostrzedz, ponieważ wysypy nadbrzeżne były zrównane. Bowy te nie

stanowiły wybitnej przeszkody, ale tak samo, jak dla kirasyerów napoleońskich pod Waterloo znajdował się rów znacznie szerszy i głęboki, którego zdała nie można było dostrzedz. Dzięki jedynie gorączce kilku ułanów na dzielnych koniach, którzy się naprzód wysadzili, że cały szwadron nie wpadł do tej nieprzewidzianej pułapki.

Pierwszy przesadził rów porucznik Aleksander Daleszyński i ułan w białej płótniance chłopskiej, następnie kilka koni zwinęło się do rowu i to powstrzymało zapęd. Ochota była tak szczera, że kilkunastu jeźdźców, przeprowadziwszy konie, podążyli za dwoma awanturnikami. Dziarski ułan w płótniance usiłował dopędzić adjutanta Hirschfelda, lecz widząc, że tego nie dokaże, chwyta za monstrualnych rozmiarów pistolet skałkowy, jaki miał za pasem i tak szczęśliwie pali, że adjutant na wskorś w plecy przestrzelony spada z konia.

Tymczasem Daleszyński w przekonaniu, że za nim dąży cały szwadron wpada na tyły huzarów i rąbie co się zmieści po karkach. Ale gdy się dopatrzono, że to tylko jeden, obskakuje go kilku naraz, gdy reszta nie przestaje umykać. Daleszyński służył

wprawdzie w 1830 r. w wolnych strzelcach, ale później był podporucznikiem kawaleryi w landwerach pruskich i znakomicie władał pałaszem, to się też tak spisał, że w mgnieniu oka zsadził dwóch przeciwników, odebrawszy sam lekkie cięcie w głowę. Pytanie, czyby był wyrąbał do reszty napastników, gdyby towarzysz w płótniance nie był go z tej łaźni wyswobodził, a następnie nie dopadło kilku towarzyszy?

W czasie tej afery resztkom mego plutonu i jednemu ze strzelców Kuszla udało się równocześnie podsunąć głębokim rowem, (o którym była mowa), tak, że zmykająca szarańca czerwonych huzarów równolegle zaledwie na 100 kroków odległości przed nami defilowała, przyczem udało się nam kilkunastu zsadzić z koni. Nie wiem już jakim wypadkiem zjawił się na chwilę przedtem powyżej nasz pułkownik Kuszel wraz ze swoim adjutantem Karolem Brzozowskim (poetą). Koń się pod nim zwinął do rowu, co dostrzegłszy huzarzy, byliby go wraz z Brzozowskim zrąbali, gdyby nie dywersya z rowu.

Kuszel człowiek wiekowy, potłukł się znacznie, a wypadało go koniecznie wypro-

wadzić z tej nader niebezpiecznej pozycyi, ponieważ kolumny pruskie, które się zrejterowały, usadowiwszy się ponad traktem i gulczewskiem wzgórzem, rozpoczęły na nowo ogień.

Brzozowski wydobywszy pułkownika ze stłuczoną nogą z pod konia, obejmuje go pod ramiona i zasłaniając go własnem ciałem, jak tarczą od strzału, krok za krokiem dąży pod naszą zasłonę. Ile tam strzałów do nich padło, trudnoby było zliczyć, pomimo tego wyszli szczęśliwie i cało.

Zdawało się już, że chcą napowrót rozpocząć bój zaczepny, pomimo zachodzącego słońca. Ochota ta przemieniła się jednak w niespodzianą panikę, gdy z kraju lasu sosnowego, położonego na lewem skrzydle za Sokołowem ku Gulczewu, rozległo się jakby z tysiąca piersi głośne “hurra!”

Każdemu obeznanemu z przyrodą wiadomo, jak echo podaję głos ludzki z lasu wtenczas, gdy słońce zachodzi, a cóż tu dopiero mówić, gdy na brzegu lasu pokazała się długa kolumna kosynierów.

Prusacy uważali się już bezwarunkowo zagrożeni na tyłach, a więc zrywając nagle zaczepny bój, umykają przez Gulczewo

i Czeluścin ku Gnieznu, zapalając obydwie wsie i mordując po drodze w tychże kobiety, dzieci i starców.

Takiem nikczemnem bohaterstwem pieczętowało sołdactwo pruskie każdy bój na wielkopolskiej ziemi.

Przypatrzmy się zkąd się zjawił nowy hufiec kosynierski pod lasem?

Rzecz się tak miała. Od początku powstania popostawiane były w każdej wsi na wzgórzach słupy alarmowe, poobwijane słomą i smołą oblane. Przy każdym takim słupie stała dniem i nocą warta, a gdy spostrzegła na horyzoncie, że który z widomych w dali słupów jest zapalony, zapalała i swój. Na ten znak trwogi uderzano równocześnie po kościołach w dzwony, a wtenczas kto żył rzucał zajęcie, a chwytając za kosę lub inną broń, dążył na zborny punkt.

Otóż gdy przy rozpoczęciu bitwy pod Sokołowem zapalono pod Wrześnią alarmowe słupy, rozeszła się wieś, jakby iskrą telegrafu niesiona na wszystkie strony.

Wieśniak rzucał pług i pozostawiał wraz z wołami niedorostkowi lub żonie i ile sił starczyło pędził do chaty, aby ująć za kosę i dążyć w pomoc walczących braci.

Huk armat dodał jeszcze większej podniety, to też ze wszystkich stron dążyły mniejsze i większe zastępy za tym hukiem. O dwie mile od Wrześni była wieś Beganów, a nauczycielem w wiejskiej szkole niejaki Stanisław Wołyński, który nietylko w tej gminie, ale w całej okolicy posiadał największe zaufanie u ludu, dla którego w złej i dobrej doli był nietylko cennym nauczycielem, ale doradcą, opiekunem i serdecznym bratem.

Nie dziw, że potrzeba było zaledwie kilku chwil, aby się kilkaset kos zgromadziło pod jego komendę.

Wołyński pomimo, że był ojcem licznej rodziny, podążył na przełaj z dzielnym hufcem i nie mogąc się domyśleć rzeczywistego pola bitwy, ani też nie mając czasu przekonać się, jaki wypadek, boju, ukazał się szczęśliwie na tyłach pruskich.

Po odniesionym zwycięztwie można by przypuszczać, że płużne rycerstwo powróciło do domu? — Oj nie — widząc na polu bitwy poległych braci, przesłał każdy w duchu błogosławieństwo pod rodzinną strzechę, a sam poszedł szukać śmierci lubzwycięztwa.

Cienie nocy pokryły obszerny plac boju, oświecony pruską pożogą palących się wsi Sokołowa i Gulczewa.

Pościg naszej piechoty trwał aż pod sam Gulczew, lecz, że takowy był dla piechoty fizycznie niemożebny, okryci potem i kurzem okoliliśmy ogniska, ułożone z rozebranych płotów.

Plac boju i zwycięztwo było w naszych rękach, ale zwycięztwo to było krwawe. Policzono na pobojowisku z naszej strony przeszło 260 poległych, a daleko większa liczba rannych, nie licząc spalonych męczenników w stodołach.

Pruskich trupów znaleziono zaledwie 60, a więcej nad 150 nie było rannych.

A przecież zwycięztwo nasze mogło nietylko przybrać inne rozmiary, ale nawet znieść zupełnie nieprzyjaciela, gdyby kawalerya Kirkowa i Brzeżańskiego zdobyła się była na tyle obowiązku, aby mając ku temu wszelką swobodę i dosyć wypoczęte konie, oskrzydliwszy z obydwu stron siły pruskie, odcięła zupełnie odwrót, a tak przyparci ze wszystkich stron, byliby pp. Hirschfeld i Wedel niezawodnie broń złożyli. Niestety szlachecka nienawiść do Miero-

sławskiego odmówiła znowu tak samo jak pod Miłosławiem posłuszeństwa temuż.

Prusacy znużeni daleko więcej od nas nie mogli się tak prędko odsądzić, co Mierosławski przewidując, po dosadnich zaklęciach porwał nareszcie Brzeżańskiego z kawaleryą i poszedł w pogoń. Domagalski zebrawszy część strzelców nowomiejskich podążył w tropy ku Czeluścinowi, aby ztamtąd wypłoszyć odpoczywającą piechotę,

Kawalerya nasza ze sztabem na czele wpadła tak niespodziewanie do Czeluścina, że nieprzyjaciel nie zdążył nawet zmykając zabrać z sobą kotłów do gotowania posiłku. Kawalerya pruska, idąca w arjergardzie, postępowała natenczas bokiem Czeluścina i tak się przeraziła, że zemknąwszy w bok, zaledwo z rana odszukała główną siłę.

Bój pod Sokołowem był prawdziwie bohaterskim epizodem, który w dalekie pokolenia nawet powinien być zachowany ku Ozci wielkopolskiego ludu.

